CENA 15 ZŁ
(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)

CZYTELNIK

Odra
Tygodnik

Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej.
Józef Kisielewski: „Ziemia gromadzi prochy"

NUMER 16 (73) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN, dnia 20 KWIETNIA 1947 ROK ROK III

Biblioteka Uniwersytecka w Gdańsku
02015

EUGENIUSZ PONIATOWSKI

Śląsk walczył o wolność

Chociaż nie posiadamy jeszcze wyczerpującego opracowania dziejów politycznych Śląska XIX w. (bowiem mamy tylko przyczynki do pewnych okresów lub opracowania działań niektórych wybitniejszych postaci: jak K. Miarki, B. Koraszewskiego, Dr. J. Rostka, Ks. Aleks. Skowrońskiego, Ks. Jana Wajdy i innych) — mimo to na podstawie dotychczasowych prac historyków polskich jak Askenazego, Dembińskiego, Kukiela, Skalkowskiego. Staszewskiego, Tokarza, Wojtkowskiego, Piwarskiego i wielu innych, możemy odtworzyć wyraźny obraz udziału Śląska w walkach o niepodległość Polski.

Oczywiście udział ten był taki, na jaki w ówczesnych warunkach politycznych mógł się Śląsk zdobyć. Zanim jednak przesuną się przed nami chronologicznie wypadki na Śląsku, przyjrzyjmy się jak wyglądało uświadomienie narodowe w państwie niemieckim. Otóż jeszcze w XVII wieku liczyły Niemcy około 1800 odrębnych politycznie jednostek państwowych (pół i ćwierć — suwerennych państw, miast miasteczek), a dopiero po wypadkach, jakie Niemcy przeszły na przełomie XVIII i XIX wieku (gdzie duży był wpływ rewolucji francuskiej i wojny z Napoleonem) przyczyniły się do redukcji tych samodzielnych „instytucji", posuwają naprzód sprawę unifikacji Niemiec i budzą ogólne poczucie jedności narodowej. Ostatnie reformy administracyjne Trzeciej Rzeszy, przeprowadzone przez Hitlera miały być końcowym etapem procesu historycznego, rozpoczętego przed zgórą stu laty. Niemieccy historycy i publicyści z dumą nawiązywali zawsze do wielkich nazwisk swego narodu jak: Fryderyka Jahna, patrioty, nawołującego do walki z Napoleonem, do poety i historyka Ernesta Arndta, który głosił, że Ren jest rzeką niemiecką, a nie linia graniczna z Francją, i który w pierwszym okresie swej działalności wypowiadał się za niepodległością Polski, do filozofa Fichtego i jego słynnych mów, i do Hoffmana von Fallersleben, patriotycznego poety. Ale wymienione cztery nazwiska nie były w swoim czasie u Niemców w kraju popularne. Hasła ich nie porywały narodu niemieckiego tak jak np. hasła Kościuszki lub legionów Dąbrowskiego, które pociągały za sobą lud polski wszystkich dzielnic. Rząd pruski zamknął bowiem Fryderyka Jahna w lipcu 1819 r. na sześć lat w twierdzy, ponieważ urzędowa komisja śledcza zarzuciła mu propagandę „wielce niebezpiecznej nauki" o jedności Niemiec. Poeta i historyk Arndt, za podobnie „niebezpieczną naukę" został zawieszony na dwadzieścia lat w czynnościach profesorskich, odsiadując przez ten czas nieraz karę więzienia. Jeszcze w r. 1824 policja pruska zabraniała drukowania Fichtego „mów do narodu niemieckiego", a prezydent prowincji brandenburskiej podtrzymywał dość długo ten surowy zakaz. Podobnie srogo obeszły się władze pruskie z Hoffmanem von Fallersleben, pozbawiając go katedry i skazując na nędzę — za napisanie pieśni „Deutschland, Deutschland ueber alles". Sąd pruski skazał też poetę Reutera na karę śmierci, złagodzoną na ciężkie więzienie, za narodową niemiecką agitację.

Tych kilka przykładów wystarczy dla oceny, która świadomość narodowa w przełomowym okresie napoleońskim była gorętsza i żywsza, w Niemczech czy w Polsce. Wszakże ówczesna Polska nie wyłączając Śląska, dostarczyła samym tylko legionom blisko 1000 oficerów i około 30.000 podoficerów i szeregowców. Poeci polskich legionów, Cyprian Godebski czy Antoni Górecki, nie dzielili w Polsce losów Fallerslebena, czy Arndta. Nie dość na tym. Przecież jeszcze w roku 1894 Fryderyk Wilhelm IV pruski odrzuca koronę cesarską. Co więcej, nawet po zwycięskiej wojnie nad Francją w r. 1870, król pruski będzie miał jeszcze wątpliwości czy może być niemieckim cesarzem. Trudno się dziwić obojętności narodowej polityków, skoro uważany za ojca i pierwszego teoretyka ruchów ludowych poeta Herder oceniał „dumę narodową" — na równi z dumą szlachecką — jako „błazeństwo", a naród określał jako wielki, nieuprawiony ogród pełen zielska. Należy sądzić, że przykłady te wystarczą dla usprawiedliwienia i pewnej ostrożności przy porównywaniu odrodzenia narodowego Niemiec z odrodzeniem narodowym Polski i Ziemi Śląskiej. Jakże bowiem wyglądała sytuacja w Polsce, a na Śląsku w szczególności? Przed wyciągnięciem ostatecznych wniosków przypomnijmy sobie następujące po sobie pewne fakty i wysnujmy z nich odpowiednie wnioski i wyjaśnienia. Jeszcze bowiem przed Powstaniem Kościuszkowskim, Konfederacja Barska (1768—1772), poruszając Wielkopolskę sięga swą akcją na teren Śląska. A zauważać należy, że był to pierwszy na wielką skalę ruch zbrojny, który na sztandarach swoich wypisał hasło niepodległości narodu. Z badań naszych historyków epoki Polski porozbiorowej jak: Dembińskiego, Kukiela, Skalkowskiego i innych, wiemy, że emisariusze Tadeusza Kościuszki i Hugona Kołłątaja zaczęli prace przygotowawcze do zorganizowania powstania również na Śląsku, w powiecie sycowskim, namysłowskim i oleskim. Terenem wypadowym była Wielkopolska, która zerwała się późno do walki, bo dopiero po klęsce pod Szczekocinami i dlatego też nie mogła już rozbudzić powstania na ziemi śląskiej. Nie trzeba podkreślać, że Kołłątaj, znając dobrze Śląsk, świetnie orientował się w możliwościach rewolucyjnych chłopa górnośląskiego. W kilkanaście zaś lat potem przez Śląsk prowadzi traktat legionowy. Pobyt wojsk napoleońskich na ziemiach nadodrzańskich w latach 1808 — 1809 znalazł już swego dziejopisa w Januszu Staszewskim w książce pt. „Wojsko Polskie na Śląsku w dobie napoleońskiej" — Katowice 1936 r. I zapewne, możemy śmiało powiedzieć, że nie byłoby ucieczki z wojska pruskiego Ślązaków, która będzie się powtarzać w 1866 r. w czasie wojny z Austrią oraz masowej ucieczki z wszystkich frontów niemieckich w pierwszej i drugiej wojnie światowej, gdyby nie Powstanie Kościuszkowskie, trakt legionowy i inne ruchy zbrojne, które przyczyniały się do tego, że żołnierz śląski podążał pod biało-czerwone sztandary. W okresie zaś wojen napoleońskich odgrywa Śląsk wielką rolę w przetargach dyplomatycznych pomiędzy Napoleonem, królem pruskim a cesarzem rosyjskim. (Bliższe szczegóły znajdujemy w pracach Askenazego). Badacze niemieccy jak na przykład, Otto **Tschirch** w książce p. t. „Geschichte der öffentlichen Meinung in Preussen vom Baseler Frieden bis zum zusammenbruch des Staates" (1795 — 1806), Weimar 1933 — nie ukrywają tego, jak głęboko poruszyły hasła rewolucyjne i narodowe lud Polski na Śląsku. Początek znów XIX wieku, to rozwój stowarzyszeń półjawnych i tajnych w Warszawie, Krakowie, Wilnie, Lwowie, Wrocławiu i Królewcu, gdzie gromadziła się na wszechnicach Polska studenteria, głęboko przeżywając hasła rewolucyjno-narodowe. Co więcej, nawiązuje ona kontakty z dojrzalszą młodzieżą gimnazjalną, które to metody później naśladowały wszystkie inne organizacje niepodległościowe w kraju, np. „Zetu". Interesującym może być szczegół, że np. na Uniwersytecie Warszawskim pierwszy poważniejszy związek studencki założył Ludwik Mauersberger w r. 1817, syn lekarza miejskiego w Łęczycy (pochodził z rodziny niemieckiej, lecz spolszczonej). Związek nosił miano „Wszech spólność" (Panta Koina). Ale najruchliwszym ośrodkiem był Wrocław. Tam już istniała „Silesia", „Teutonia" i „Polonia". Nieobojętną dla nas może być informacja (tycząca pozornie stosunków towarzyskich), że Polonia miała często awantury pojedynkowe z burszami niemieckimi, i z tego powodu nawet posłano do Wrocławia poufne ostrzeżenie, aby unikać z tamtejszą studenterią polską zbliżenia, gdyż „rzecz zbyt bliska polskiej granicy i Polacy mogliby zagnieździć się, jak robactwo, u Ślązaków, którzy na poły są Słowianami." Ważnym jest również szczegół, że te organizacje studenckie miały za godło: Wolność i Ojczyzna, a przy przyjmowaniu nowych adeptów, zadawano takie pytania: Co cię zajmuje? Odpowiedź: Myśl Ignacego Potockiego. W jakim duchu? Odpowiedź: Hugona Kołłątaja. W jakim zamiarze? Odpowiedź: Nieśmiertelnego Kościuszki." Nic dziwnego, że tajna policja rosyjska śledziła nie tylko w Krakowie, ale i w Wrocławiu ruch wśród studentów. Interesuje się tym nawet sam Nowosilcow, który posyła do Wrocławia szpiega Kalinowskiego, aby wstąpił do „Polonii".

We wszystkich tych organizacjach spiskowych, tajnych i półtajnych, studenckich i niestudenckich, zawsze było głównym celem (jak opowiada statut jednej z organizacji, założonej przez Prądzyńskiego): „wzmocnienie się węzłem braterskiego przywiązania, ażeby Polacy, pod jakimibądź rządami żyjący, uważali się zawsze za jeden naród, i żeby ich usiłowania, gdy okoliczności nastręczą do tego porę, były zawsze wspólne i jednoczesne". Zeszły wprawdzie granice zaborcze po Kongresie Wiedeńskim w 1815 roku, ale jeszcze Śląsk należy do archidiecezji Krakowskiej. I nie zapominajmy przy tym, że aktem końcowym tegoż Kongresu zabezpieczono Polakom formalnie we wszystkich zaborach przedstawicielstwo i instytucje narodowe. Tym samym dzięki Polakom, idea narodowa weszła tu po raz pierwszy w dziedzinę prawa publicznego.

Skromne zaledwie posiadamy wiadomości o echach, jakie wywołało powstanie listopadowe na Górnym Śląsku. Wiemy tylko, że były próby rozbrajania straży granicznych pruskich w Oleśnie. W każdym razie fakt przysłania oddziałów wojskowych nad granicę świadczyłby, że obawy o porwanie Górnego Śląska w wir powstania były uzasadnione. Prawdopodobnie polityka Chłopickiego, który odpychał nawet ochotników z Wielkopolski, utrudniała Śląskowi nawiązanie do tradycji Kościuszki. Lecz po upadku Powstania Listopadowego, „Wielka Emigracja", której dzieje bada historyk Lewak, wydobywając na jaw bardzo ciekawe szczegóły, czuwa nad Śląskiem. Wiadomo, że wielką rolę grała tu ideologia Lelewela o gminowładztwie. Ponadto pamiętać trzeba, że Lelewel wykładając na katedrze wileńskiej głosił, iż Polska straciła Śląsk przez arystokrację, a musi odzyskać go przez lud. Toteż wydań wiemy, że Wrocław był tym ośrodkiem, który skupiał delegatów z Poznańskiego, Rady Narodowej Lwowa i Krakowa nad debatami w sprawie polskiej i ogólnosłowiańskiej. Tu dyskututje się nad uprawnieniami przyszłego rządu narodowego i projektem Ligi Polskiej. Tutaj Jędrzej Moraczewski, Poznańczyk, rzuca myśl Zjazdu Słowiańskiego, który — jak wiadomo — odbył się w Pradze z udziałem delegatów Śląska, gdzie Paweł Stalmach odegrał tak powżną rolę. Wiemy z pracy J. Feldmana (Sprawa Polska w r. 1848), że wysunięto na zjeździe żądanie, aby „Śląsk pruski... z poznańskim działem Polski do równych stosunków przywiedziony był..." Rok 1848 — to data nieudałego powstania poznańskiego, to data rozruchów ludowych w kilku miastach Górnego Śląska, to wreszcie rok Wielkiego Zgromadzenia Narodowego Polskiego w Bytomiu, zorganizowanego przez Lompę, Szafranka i innych. 13 czerwca 1848 r. manifestuje 200 gmin górnośląskich, aby imieniem pół miliona Polaków zażądać w parlamencie pruskim praw dla mowy ojczystej w szkole i urzędzie.

Od czasu wyborów powszechnych do pierwszego parlamentu Rzeszy Niemieckiej w r. 1871, kiedy masy ludowe Górnego Śląska mogą brać żywszy udział w życiu politycznym, zjawia się też coraz liczniejsza grupa działaczy i coraz częstsze są kontakty z innymi ziemiami Polski. W dużej mierze hamulcem rozwoju ruchu polskiego na Śląsku było niemieckie stronnictwo polityczne „Centrum", które skaptowawszy sobie ludność polską podczas walki kulturalnej w obronie praw kościoła i religii katolickiej bałamuciło ludność śląską, że występuje także w obronie jej praw. Dopiero wystąpienie Wojciecha Korfantego w 1903 r. przeciw akcji partii „Centrowej" sprowadziło zagadnienie polskiego ruchu narodowego na Śląsku na nowe tory. Zerwanie zaś ludu Śląskiego z niemieckim „Centrum" i wysłanie własnych przedstawicieli do parlamentu niemieckiego było pierwszym krokiem, decydującym o przyszłości Śląska. Wówczas Niemcy nie mają już żadnych złudzeń co do uświadomienia narodowego i politycznego Śląska.

Zamykając na tym naszkicowaną w zarysie linię udziału Śląska w walce o niepodległość Państwa Polskiego, możemy każdemu śmiało i otwarcie powiedzieć prosto w oczy, że nie było żadnego większego wypadku politycznego w Polsce, któryby nie odbił się żywym braterskim echem na Śląsku, oraz, że prawie każdy program walki zbrojnej o niepodległość nakreślony w Polsce czy też na emigracji rozciągał swoją działalność na ziemie nadodrzańskie. Istniejąca bowiem łączność duchowa Polaków z różnych dzielnic kraju, była silniejsza niż przemoc rządów zaborców, pragnących zniszczyć naród polski i nie dopuścić do wskrzeszenia jego Państwa. **Eugeniusz Poniatowski.**

„Oresteja" Ajschylosa
na scenie P. T. P. w Warszawie

Państwowy Teatr Polski w Warszawie wystawił ostatnio z dużym rozmachem i w doskonałej obsadzie tragedię Ajschylosa „Oresteję". To monumentalne przedstawienie reżyserował dyr. Arnold Szyfman, zaś oprawę dekoracyjną zaprojektował Wacław Borowski. — Na zdjęciu Jan Kreczmar jako Orestes w otoczeniu Chóru Erynii.

EDMUND OSMAŃCZYK

Berlin i Rzesza

Berlin, w kwietniu

W marcu br. odbył się w Wiesbadenie zjazd burmistrzów miast niemieckich. Główną osobistością był dr Ostrowski, burmistrz Berlina. To demonstracyjne podkreślenie pierwszeństwa wobec gospodarza byłej stolicy byłej Rzeszy miało szczególną wymowę na tle dyskusji, jaka się toczyła ostatnio w prasie niemieckiej, czy stolicą Niemiec ma być Berlin, czy też Hannover, Monachium, Weimar lub Frankfurt nad Menem. Trzeba stwierdzić, że przeciwników Berlina była nieliczna garstka, natomiast obrońców stołeczności miasta Fryderyka II było tysiące. Nie brakło również pompatycznych głosów, że Berlin jest nie tylko sercem Niemiec, ale i Europy i posiada znaczenie „światowe".

Na zjeździe w Wiesbadenie podkreślono pierwszeństwo Berlina w sposób niezwykle charakterystyczny. Oto burmistrz Kolonii, a więc stolicy Nadrenii, która nigdy z Prusami pogodzić się nie chciała, wygłosił mowę pochwalną na cześć Berlina i stwierdził, że *„każdy kto chce odebrać Berlinowi rolę stolicy, jest zdrajcą idei Rzeszy"*.

Prawie równocześnie w Berlinie dr Kurt Schumacher przemawiając do funkcjonariuszy partii socjalistycznej, oświadczył:

„Wszyscy Niemcy muszą się dziś zjednoczyć w proteście przeciwko obecnej granicy polsko-niemieckiej. Granicę tę musimy przesunąć na wschód tak daleko, jak tylko to będzie możliwe."

Te dwie na pozór nie związane ze sobą wypowiedzi mają wspólne źródło w „idei Rzeszy".

Niemcy mają skłonność do mrówczej pracowitości, którą nazywają *„Kleinarbeit"* i do *elephantiasis* idei, które są zawsze nieokreślone w swojej wielkości. Do takich świadomie nieokreślonych pojęć należy słowo „Rzesza". Granice Rzeszy mogą być, że użyjemy formuły Bismarcka, Hitlera i Schumachera *„przesuwane na wschód tak daleko, jak tylko to jest możliwe"*.

Słowo „Rzesza" jest pojęciem imperialistycznym, tak samo, jak słowo „Prusy". Nieokreśloność terytorialna obu tych pojęć wytworzona została świadomie. Prusy zostały oficjalnie zlikwidowane przez Radę Aliancką Niemiec, natomiast „Rzesza" w dalszym ciągu ma szanse politycznego odrodzenia. Nawet federacjoniści używają daleko chętniej słowa „Rzesza", niż „państwo związkowe" lub „związek państw".

Jeśli chce się Europie i światu zapewnić pokój, należy oderwać Niemcy od ich przeszłości i zmusić je do wejścia na drogę normalnego rozwoju państwowego. Państwo Niemieckie, czy Republika Niemiecka musi być czymś wyraźnie terytorialnie określonym, czymś, co się samą nazwą nie rozrasta w duszach niemieckich, w coś nieokreślenie wielkiego, wreszcie czymś, co nie budzi swoim imieniem tęsknot i nadziei, wypływających z zaborczej pruskiej przeszłości.

Idea Rzeszy, to było parcie na wschód. Berlin zbudowany na błotach łużyckich był kamieniem młyńskim, położonym na piersiach zachodniej słowiańszczyzny. Rozwój Berlina był nie tylko rozwojem Prus ale i Rzeszy. Gdy Berlin stał się wielki, wielką stała się Rzesza. Hitler stworzył z Berlina stolicę Europy. Niemcy dziś nie chcą zrezygnować ze swoich dążeń wschodnich, i właśnie dlatego, że granica polsko-niemiecka podsunęła się pod sam Berlin (60 km to zasięg armatni), Niemcy starają się utrzymać stołeczność Berlina, choć ciężar państwa niemieckiego leży dziś daleko bardziej na zachód. *„Kto bowiem chce odebrać Berlinowi rolę stolicy, ten jest zdrajcą idei Rzeszy."*

Z naszego punktu widzenia wydaje się zatem konieczne postawienie przez Polskę na konferencji pokojowej dwu spraw ogromnej wagi dla rozwoju przyszłości Niemiec. Pierwsza, to sprawa nazwy dla państwa niemieckiego. Należy zlikwidować wreszcie pojęcie „Rzesza", a wprowadzić pojęcie „Państwo" lub „Republika Niemiecka". Druga sprawa, to przeniesienie stolicy Niemiec z Berlina do innego, bardziej na zachód położonego miasta. Ta druga sprawa napotka na olbrzymie opory i małe ma szanse, by mogła być zrealizowana w chwili obecnej. Niemniej musi być to trwały postulat polskiej racji stanu.

Berlin, stolicą Niemiec — to stałe podtrzymywanie tradycji pruskich w narodzie niemieckim, to podkreślanie manifestacyjne idei Rzeszy Bismarcka i Hitlera, to wreszcie stwarzanie sztucznego ciążenia całych Niemiec ku wschodowi.

Jeśli uda nam się na granicy Odra—Nysa utrzymać pokój z Niemcami przez lat conajmniej 25, to wówczas Niemcy sami dojdą do przekonania, że Berlin jako stolica Rzeszy jest zbyt deficytową dla nich imprezą. Deficytowość Berlina, to przede wszystkim jego wysoka śmiertelność. Jest to miasto-grób, miasto, które wysysało miliony ludzi na wymarcie. Słynny socjolog niemiecki, Grotjahn, obliczył, że w Berlinie każda rodzina wymiera najpóźniej w piątej generacji, a zazwyczaj już w trzeciej. Demografowie niemieccy zastanawiają się już dziś, czy wobec zakazu osiedlania się w Berlinie, miasto to ma szanse długiego życia. Stale wzrastające starzenie się narodu niemieckiego stwarza jednocześnie problem, czy naród niemiecki może sobie pozwolić na oddawanie Berlinowi choćby części swoich słabych żywotnych sił. Zniszczenia Berlina również są czynnikiem hamującym, ponieważ odbudowa tego ogromnego miasta wymaga niesłychanego wysiłku milionów ludzi. Czy ten wysiłek będzie możliwy, pokaże przyszłość. Niemniej pewną jest nieproduktywność tego wysiłku wobec faktu umacniania się Polski na granicy Odra—Nysa. Wszystkie te czynniki zdecydują w przyszłości o losie Berlina. Tymczasem jednak Niemcy wbrew rozsądkowi starają się stworzyć z Berlina programowy bastion niemczyzny, kierującej całe Niemcy na stary szlak wschodni I, II i III Rzeszy.

Edmund Osmańczyk

JAN BARANOWICZ

Kuszenie św. Antoniego pustelnika

Oczom, wmodlonym w krzyż z drewna, jak posąg spływasz naga.
Darmom wgniótł kaptur na czoło. Darmom uzbroił się w habit —
Śmiejesz się z moich mocowań. Drażnisz jak pąsem flaga.
Z warg spierzchłych parne zwierzenia jak liście jesienne grabisz.

Myśli jak krzak gorejący. Zszedł z podium Chrystus sczerniały,
za krawędź krajobrazu pobrnął piachami daleko.
Ramiona — kiście kasztanu — do ramion krzyża przywrzały
i piersi ciche, gołębie śnieżą się jak w skopcu mleko.

Biblijne krzyczę wersety do suchych Boga żeber,
każdemu żebru uklęk, każdemu żebru hosanna.
Gdzieżeście o święte ścięgna? — Błyszczą kosztowniej od sreber,
brzuch miękki i wonne uda, rozwarte spazmem oddania.

Pustynia gra arfami. W uszy jak żwirów otręby
sypią się drogie gemmy — słowa miłosnych obiecań.
Próżno się orzę kańczugiem. Jak znaki dziewczęcych zębów,
jak znamię grzechu są pręgi na moich piersiach i plecach.

Mszale, mszale jak furta przełamany naścieżaj!
Mądrością gockich liter haftowany jak zorzą!
Na tekstach świątobliwych stopy jak rytm pacierza
wsparły się i pieszczotą policzkom się przekorzą.

Księżyc pasie wieczory, słońce przoduje dniom,
pustyni wiatr gwałtowny, palmom ulewa lub spokój —
Jenom ja sobie pasterzem. Jak fata morgana mój dom.
I cisza tak odległa jak chybki przelot obłoku.

Zmiłuj się, jeżeli możesz — Ty Pełna, Ty Kościsty!
Któremu moja ekstaza, której ma słodka wszeteczność —
Biodrami wodząca Venus! O gwoździmi wiążący Chryste!
u dwojga drzwi mej samotni ogromniejący jak wieczność . . .

Aleksander Zelwerowicz
w nowej komedii L. H. Morstina

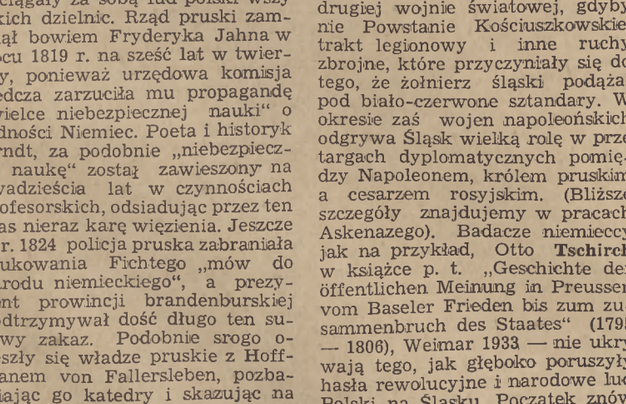

W nowej sztuce Ludwika Hieronima Morstina „Taniec księżniczki", której prapremiera odbyła się w Państwowym Teatrze Śląskim w Katowicach, wystąpił gościnnie w roli charakterystycznej profesora Adama Aleksander Zelwerowicz.

BIBLIOTEKA

MARIA ROSIŃSKA

Dom Dziecka Huty »Pokój«

Idąc kiedyś ulicą Niedurnego w Nowym Bytomiu usłyszałam dziecięcy śpiew.

Tu paluszek, tu paluszek,
a tu czysty mam fartuszek...

Podniosłam oczy. Ogromny napis „Dom Dziecka" wyjaśnił wszystko.

Nie namyślałam się. Wróciłam przed miesiącem z Niemiec, i jest we mnie teraz prawdziwa pasja konfrontowania rzeczywistości z odbiciem jej przez czarne okulary zagranicy.

Pozwolenie zwiedzenia Domu dziecka uzyskałam bez trudu.

Przy obiedzie.

Właściwie więcej niż zwiedzenia; spędziłam tu trzy przedpołudnia, mając możność dokładnego wniknięcia w życie milusińskich.

Na pierwszym piętrze żłóbek. Wrażenie przenikającej wszystko bieli działa kojąco na wzrok, przyzwyczajony do widoku krwi i na zszarpane nerwy. Z przyjemnością wkładam również biały fartuch i zamieniam się w pielęgniarkę.

Żłóbek dzieli się na trzy działy. Najmłodsze berbecie, poniżej roku, przeważnie śpią w bielutkich łóżeczkach, budząc się jedynie w porze posiłku, a krzycząc, gdy mają „mokro". Uśmiecham się mimowoli do pyzatych buź pogrążonych w głębokim śnie.

Tylko jedno niemowlę zwraca moją uwagę. Jest nędzne, małe, takie zupełnie niepodobne do wszystkich. Ale kierowniczka żłóbka jest z niego zadowolona. Trzeba je było widzieć, jak je przyniesiono przed dwoma tygodniami, zamorzone, pokryte jakimiś wyrzutami — znamionami nędzy. Teraz dzięki troskliwości pielęgniarki małe jest czyste, zaczyna jeść normalnie i niedługo stanie się podobne do innych.

Drugi pokój, też bielusieńki, służy dzieciom do lat 2. Te już nie tylko śpią. Część dnia spędzają w dużym kojcu, bawiąc się różnymi cackami. Pulchne kulki w błękitnych koszulkach i w białych trykotowych kombinezonach przewracają się w kojcu z boku na bok, spacerują wkoło, trzymając się drewnianego ogrodzenia, — uśmiechnięte, zadowolone z życia zupełnie.

Trzeci oddział to dzieci do lat trzech. W ich pokoju nie ma łóżeczek. Skaczą i bawią się ze swoją panią prawie tak jak przedszkolaczki. Wszystkie mają jednakowe szaroniebieskie ubranka. Bo dzieci przychodzące, czy przynoszone do żłóbka (już o wpół do szóstej rano) są kąpane i przebierane w ubranka żłóbkowe. Dlatego tak tu czysto i miło. Gdy o czwartej po południu mamy przyjdą po swoje pociechy, przebiorą je panie znowu.

Jest właśnie pora przedobiednа. Wiążemy dzieciom lśniąco białe śliniaczki. Jasno — i ciemnowłose główki chylą się kolejno do moich kolan. Rozszczebiotane to przy tym wszystko jak gromadka wróbelków. Nie rozumiem ich jeszcze, ale wyłapuję pojedyncze słowa: Cukierki — Mikołaj. — To o gwiazdce — informuje mnie pani. Ten bajeczny świat, w którym św. Mikołaj przynosi dzieciom z nieba podarki, musi silnie przemawiać do wyobraźni dziecięcej, skoro pamiętają to tak długo.

Niziutkie stoliki, maleńkie foteliki, talerze... Trzeci oddział — dzieci jedzą już same. Przed jedzeniem łyżka tranu. Szeroko otwierają sie buzie. Dziwię się, że nie ma z tym kłopotu.

— Och, początkowo miałyśmy ogromny kłopot, ale teraz dzieci już się przyzwyczaiły.

Mleczna zupa z kartoflami, pierożki z jakimś delikatnym mięsem — wszystko to zjada mała gromadka ze smakiem. Dowiaduję się, że oprócz obiadu dzieci dostają śniadanie: płatki owsiane na mleku, i podwieczorek: mleko lub kawa z bułkami.

Dwa razy w tygodniu żłóbek odwiedza lekarz. Wszystkie dzieci biorą według jego wskazań kwarcówki. Toteż wyglądają naprawdę znakomicie.

Po obiedzie idą w ruch nocniczki. Mały Karolek z drugiego oddziału siedzi przywiązany białym pasem do nogi łóżeczka. Jeśli pani zapomni go przywiązać, Karolek jeździ na swym nocniczku po całej sali.

Z trzecią grupą nie ma już tego kłopotu. Dzieci przeważnie radzą już sobie nawet z majteczkami same.

Teraz jeszcze mycie zamorusanych obiadem buź i maleńkich łapiąt — i dzieci idą spać, każde na swój leżak.

Sala zabaw, wywietrzona doskonale, zmienia się po obiedzie w sypialnię. Maleńkie leżaki, poduszki, koce. Dzieci kolejno wracają z umywalni, pani układa je do snu. Widać, że są najedzone, zadowolone. Kokoszka, mały, sym nad całą salą.

Żal mi opuszczać żłóbek. Tak się tu rzeczywiście nerwowo wypoczywa. Na dzieciach znać to zresztą. Żadnych histerii, żadnych scen. Spokój, beztroski, miły, radosny spokój.

Jakież to dobrodziejstwo dla dziecka wojny móc spędzać pierwsze lata życia w takiej atmosferze.

Rozmawiam jeszcze z kierowniczką żłóbka p. Łękawską. Teraz już nie ma kłopotu zwłaszcza, że zrozumienie ze strony dyrekcji Huty i rodziców dzieci ułatwia pracę. Ale przed rokiem, gdy organizowała żłóbek, trudów było co nie miara. Zaprojektować urządzenie tego raju dziecięcego tak, żeby było najlepsze, a jednocześnie najtańsze, znaleźć solidną firmę, żeby to wykonała — wszystko to nie było takie proste.

P. Łękawska kocha swój żłóbek. I nie tylko kocha. Prowadzi go doświadczoną ręką. Dwanaście lat pracy w szpitalu dziecinnym w Krakowie i w sanatorium dla dzieci w Rabce pozwoliły zgromadzić tyle fachowej wiedzy, że to jej dzieło jest rzeczywiście wzorowe. Jedną ma tylko troskę. W żłóbku jest kilkanaścioro dzieci powyżej lat 3 i to dzieci matek patyczny chłopczyk, idzie podskakując sprężyście jak piłeczka, klaszcząc w łapki i cmokrząc jęzorkiem. Jest mu dobrze.

Jeszcze Irka podnosi główkę, żeby coś pani powiedzieć, jeszcze Jurek siada na leżaku, bo przypomniał sobie jakiś „niesłychanie ważny" szczegół dzisiejszej zabawy i musi się nim podzielić z Heniem, ale za parę chwil biała cisza zapanowuje wszechwładnie

JERZY ANTONIEWICZ

Instytut Mazurski

Powstanie instytutów o charakterze naukowym, poświęcających swe wysiłki badawcze pewnym ściśle określonym zagadnieniom, jest niewątpliwie zjawiskiem dodatnim dla czasów dzisiejszych wobec ogólnych naszych niedomogów w różnych dziedzinach wiedzy. Jest rzeczą znamienną, że odczuwało się przed wojną dotkliwy brak instytucji, które by miały za zadanie powiązywanie polskich wysiłków naukowych z życiem biegnącym nieraz innymi torami. Wojna unaoczniła nam dopiero jasno te braki oraz nauczyła nas doceniać potrzebę powiązania wysiłków naukowych z potrzebami państwowymi i narodowymi. Obok wysiłku gospodarczego i zbrojeniowo-technicznego istniała potrzeba przygotowania dla celów państwa materiału naukowo-organizacyjnego i propagandowego, niezbędnego dla dobrego funkcjonowania wszystkich komórek życia zbiorowego. Te ostatnie założenia w grubszych zarysach mają między innymi cztery polskie instytuty naukowo-badawcze, a mianowicie: Zachodni, Śląski, Bałtycki i Mazurski. Jakkolwiek zadania ich są pokrewne, jednak metody i zakres prac tych instytutów jest inny — każdy ma inne drogi działania, którymi kroczy i dziś już może się szczycić poważnymi osiągnięciami. Instytut Mazurski, ten najmłodszy twór powstały w Olsztynie najmniej może jest ze swej działalności znany ogółowi. Dlatego nie od rzeczy będzie w szczupłych ramach przedstawić ogólny charakter i zadania tej instytucji oraz zobrazować dotychczasowe wyniki pracy.

OLSZTYN. — Brama, wybudowana w XIV wieku, łącząca ulicę Staromiejską z Placem Wolności.

Instytut Mazurski w Olsztynie powstał w gorących chwilach ugruntowywania naszego stanu posiadania na terenach warmijsko-mazurskich i dolnego Powiśla. Przyświecała genezie powstania tego tworu organizacyjno-badawczego idea gruntowania na miejscu, w Olsztynie, polskiego poglądu na te ziemie, w oparciu o problemy regionalne i skomplikowane warunki życia społecznego ludności autochtonicznej. Myśl ta nie prędko znalazła by swój wyraz w formie organizacyjnej, gdyby nie szczęśliwy i niezwykle dla nas korzystny zbieg okoliczności. Oto na ziemie te powróciła garstka szczęśliwie ocalałej inteligencji mazurskiej, wychowanej w okresie międzywojennym w tradycjach polskich, studiująca na naszych uniwersytetach i znająca dokładnie bieżący nurt życia polskiego z okresu konspiracji. Garstka ta zajęła odpowiedzialne stanowiska w administracji państwowej i publicznej na stopniu wojewódzkim i powiatowym, zabierając się ze znawstwem do pracy nad odbudową rodzinnych stron. Chęć zmienienia w psychice przeciętnego Polaka tendencyjnych opinii nauki niemieckiej, wreszcie wypracowanie polskiego punktu widzenia na skomplikowane przejawy życia kulturalnego, gospodarczego i społecznego w przyszłości i obecnie — oto cele podstawowe Instytutu Mazurskiego, stworzonego przez inteligencję autochtoniczną. Pomocą w tych założeniach stał się fakt uzyskania z wielokrotnego doświadczenia, że problemy warmijsko-mazurskie, zwłaszcza w odniesieniu do zagadnień społecznych nie dadzą się przepracować dokładnie z centrów uniwersyteckich Warszawy, Poznania i Torunia, ze względu na zagmatwane fakty, które rozwiązywać może tylko dostatecznie gruntowna znajomość terenu.

Do współpracy bowiem w pracach Instytutu Mazurskiego wciągnięci zostali starzy działacze spośród ludności autochtonicznej, odznaczający się głęboką znajomością praktyczną problemów tego terenu oraz przedstawiciele miejscowego świata pedagogicznego, gospodarczego, społecznego i kulturalnego. Oni to, mając głębokie wyczucie i zrozumienie szeregu zawiłych problemów i faktów z przeszłości, zdolni będą zrealizować logicznie nasze wiekowe zaniedbania, których echa tak tragiczne widzimy do dziś w fakcie przymusowej emigracji tysięcznych rzesz ludu mazurskiego na tereny Niemiec i Danii. Naturalnie mając takich współpracowników „Instytut Mazurski" zdaje sobie sprawę, że prace publikowane w wydawnictwach, wychodzących w Olsztynie, grzeszyć będą niekiedy brakiem perspektywy, ale walorem niezaprzeczalnym tych prac będzie doskonała podbudowa źródłowa, zaczerpnięta wprost z pierwszej ręki a oparta na bogatej znajomości warunków miejscowych. Uwagi te odnoszą się zwłaszcza do tych działów wiedzy, których badanie wymaga jak najszerszego obcowania z terenem w celu zbierania materiałów i dotyczy zarówno nauk humanistycznych, jak przyrodniczych oraz gospodarczo-społecznych. Naczelnym bowiem celem Instytutu Mazurskiego jak wynika ze statutu jest: a) podejmowanie i popieranie prac badawczych w zakresie stosunków kulturalnych, społecznych, historyczno-politycznych, przyrodniczych i geograficznych Pojezierza Mazurskiego; b) popularyzowanie wiedzy o Pojezierzu Mazurskim. Do zadań natomiast „Instytutu" należy: a) utrzymywanie i prowadzenie biblioteki regionalnej i muzeum regionalnego; b) organizowanie konkursów, odczytów, instytucyj popularyzujących wiedzę o Pojezierzu Mazurskim.

Po zatwierdzeniu statutu przystąpiono natychmiast do pracy. Okres przejściowy wymagał przede wszystkim skupienia wysiłku nad budowaniem podstaw pod współpracę między ludnością autochtoniczną a napływową, toteż charakteryzowała go, kontynuowana zresztą w dalszym ciągu dwukierunkowość. Po pierwsze — praca nad ludnością autochtoniczną, po drugie — popularyzowanie problemów ludności mazurskiej i warmijskiej wśród ludności napływowej. Owocem działalności pierwszego odcinka jest akcja wydawnicza dla ludności autochtonicznej oraz repolonizacja młodzieży warmijskiej i mazurskiej. W zakresie akcji wydawniczej wydano kalendarze ludowe dla tych dwu grup ludności oraz szereg sztuk o charakterze regionalnym, opartych na zwyczajach ludności mazurskiej dla teatrów amatorskich. W druku jest Mazurski Śpiewnik Regionalny oraz w przygotowaniu szereg wydawnictw o charakterze religijnym jako wznowienia (np. Kancjonał Wasiańskiego). Prace nad wychowaniem młodzieży autochtonicznej oraz zapoznania ich z językiem i kulturą polską prowadzą dwa Uniwersytety Ludowe: w Pasymiu i Morągu. Charakterystyczną cechą ich działalności jest fakt, że wychowankami tych zakładów zajmuje się kierownictwo i po ukończeniu studiów. Chodzi przecież o to, żeby wychowankowie po ukończeniu kursów weszli w społeczeństwo polskie jako pełnowartościowi obywatele. Idei tej służy też szkolnictwo zawodowe dla młodzieży, która ma odejść do miast, zaś rolnicze dla młodzieży, która obejmie gospodarstwa na ziemi ojców po wsiach Pojezierza Mazurskiego i Warmii. Już dziś widać wyniki tej pracy.

OLSZTYN. — Kościół Garnizonowy, widziany z baszty zamku „Obrony Kapituły Warmińskiej".

W popularyzacji problemów warmijsko-mazurskich wśród ludności napływowej najważniejszą rolę odegrała akcja odczytowa, zorganizowana dla Wojsk Ochrony Pogranicza, Bezpieczeństwa oraz Milicji. W drugim rzędzie akcja odczytowa obejmowała oświatowców i młodzież szkolną oraz inteligencję zawodową. Oprócz akcji odczytowej wydano prace popularyzacyjne, przedstawiające w sposób przejrzysty problem ludności autochtonicznej oraz wkład tej ludności w walkę o polskość ziem warmijsko-mazurskich.

Wydawnictwa te miały za zadanie dotrzeć do wszystkich ośrodków administracyjnych oraz spełnić rolę uświadamiającą dla tych wszystkich, którzy akcją odczytową nie mogli być objęci. Dziś jeszcze nie sposób podsumować wyników tej działalności „Instytutu Mazurskiego" — gdyż akcja ta jest w toku i stąd brak należytej perspektywy. Obok akcji odczytowej urządzono trzy wystawy, z których pierwsza poświęcona została pamiątkom i drukom plebiscytowym, druga Kopernikowi, trzecia zaś piśmiennictwu polskiemu na Mazurach, nie mówiąc już o masie artykułów popularnych ogłoszonych na łamach naszych czasopism, szerzących wiedzę o Ziemiach Odzyskanych oraz o ich bolaczkach i troskach w chwili bieżącej. W związku z powyższą działalnością utarło się już mniemanie o wartości tej instytucji dla życia kulturalnego regionu warmijsko-mazurskiego oraz o wysokiej potrzebie działalności jej agend w procesie scalania ludności miejscowej z ludnością napływową.

Wymienione zadania, ważne i pilne odsunęły w pracach „Instytutu Mazurskiego" zagadnienia badawcze i ściśle naukowe na plan dalszy. Tym niemniej poczyniono już kroki, zmierzające do podjęcia tych prac w dalszej kolejności, z chwilą gdy zagadnienia najbardziej palące ludności autochtonicznej zostaną choćby w części rozwiązane zgodnie z intencjami wypróbowanych bojowników mazursko-warmijskich oraz polską racją stanu. Jednym z kroków ku realizacji tych celów stworzenie biblioteki „Instytutu Mazurskiego", która dziś już przedstawia wielką wartość dla poważnego badacza tych ziem. Drugim momentem niemniej ważnym było zabezpieczenie szeregu archiwaliów, w tym niezwykle cennych aktów kościelnych z Ostródy, począwszy od 1625 roku oraz biskupstwa warmijskiego z 17 wieku i późniejszych. Zwłaszcza te pierwsze mają wielką wartość dla postulowanego regionu ze względu na fakt zawartych w nich wspaniałych wiadomości źródłowych do biografii Gizeniusza, który jak wiadomo od 1835 roku aż do swej śmierci (1848) był polskim działaczem i kaznodzieją w Ostródzie. Istnieje projekt wydania tych źródeł in extenso dla przyszłych badaczy zagadnień warmijsko-mazurskich w formie serii publikacji, które obejmować będą zarówno czasy dawniejsze jak i nawet okresy współczesne. Natrafiono bowiem i zabezpieczono prócz tego ciekawe dokumenty miejscowego Gestapo z Olsztyna, dotyczące walki o polskość na Mazurach i Warmii.

Palącą potrzebą w zakresie topo- i onomastycznym realizuje „Instytut Mazurski" w formie „Słownika Nazw Miejscowości", który ukaże się niebawem na półkach księgarskich w objętości 12 arkuszy druku. Słownik ten ułożony i opracowany przez G. Leydinga-Mieleckiego będzie niezwykle cenną pozycją o charakterze językoznawczym.

Wartościowa ta pozycja, jedyna w swoim rodzaju, przyswojona dla naszej kultury będzie **niezwykle bogatą kopalnią materiałów do dalszych studiów badaczy,** zajmujących się ekspansją języka polskiego na północne Mazowsze i Warmię na przestrzeni dziejów.

W zakresie innych wydawnictw ukaże się jeszcze w b. roku kilka wartościowych pozycji. Jedna z nich to praca inż. Juszczyka pt. „Struktura gospodarcza woj. olsztyńskiego i odbudowa zniszczonego w nim rolnictwa", w której autor, doskonały znawca problemu, przedstawił postulat niezwykle ciekawie i przekonywująco, udokumentowując odpowiednimi danymi statystycznymi swe opracowanie pełne troski o przyszłość gospodarczą tego okręgu. Z dalszych prac ukaże się praca H. Kurpskiego pt. „Sztuka ludowa na Mazurach i Warmii", której wartość polegać będzie przede wszystkim na **zebraniu nowego i nieznanego dotychczas** materiału etnograficznego, ujętego w nowym i świeżym aspekcie oraz praca J. Antoniewicza pt. „Krótka prehistoria Prus". Ta ostatnia praca, wynosząca 10 arkuszy druku, zawierać będzie przede wszystkim nowy aspekt na stosunki przed- i wczesnodziejowe na ziemiach warmijsko-mazurskich, opartych w pierwszym wydaniu, na dotychczasowych wynikach ale **nie wnioskach** nauki niemieckiej, **ze specjalnym uwzględnieniem polskiego wkładu naukowego** w rozjaśnieniu mroków przeddziejowych na ziemi Chełmińskiej, Lubawskiej, Mazowszu Mławskim oraz Podlasiu z Suwalszczyzną. Dalsze prace są w toku i zawierać będą opracowania autorów, pochodzących z terenu woj. olsztyńskiego oraz z różnych centrów dyspozycyjnych nauki polskiej.

Ważną rolę przypisuje „Instytut Mazurski" serii krótkich, o objętości jednego arkusza druku broszurek pt. Komunikaty Działu Informacji Naukowej. W bieżącym roku opracowano **cztery serie** tych wydawnictw. Obejmują one parę gałęzi wiedzy jak: 1) seria dla prehistorii i historii, 2) seria geograficzno-etnograficzna, 3) gospodarczo-społeczna oraz 4) sztuki i kultury. Charakter ich jest inny niż podobne wydawnictwa pokrewnych instytutów. O ile bowiem podobne komunikaty śląskie i bałtyckie pisane są głównie dla prasy i stąd nieraz ich publicystyczny charakter, o tyle „Instytut Mazurski" nadał swym seriom charakter poważniejszy i głębszy. Ambitnym zadaniem tych wydawnictw, rozsyłanych głównie dla ośrodków naukowych i bibliotek jest pobudzenie zainteresowań badawczych u polskiego świata nauki nad problemami warmijsko-mazurskimi oraz wyeliminowanie **tendencyjnych** opinii nauki niemieckiej. Komunikaty wydawane przez „Instytut Mazurski" przedstawiają w sposób krótki stan badań nad pewnym zagadnieniem oraz możliwości rozwoju w badaniach nauki polskiej w przyszłości bliższej lub dalszej. Ważne te założenia, jedyne w swoim rodzaju, przyniosą niewątpliwie korzyść dla postępu badań, tym bardziej, że do współpracy zostali zaproszeni doskonali znawcy poszczególnych zagadnień zarówno od strony naukowej jak i praktycznej jak np. w stosunku do zagadnień gospodarczo-społecznych oraz sztuki i kultury.

Cały ten program realizuje „Instytut Mazurski" w Olsztynie w oparciu o jedną drukarnię i to bez linotypów, stworzoną przy współudziale inteligencji autochtonicznej. Jeśli dziś, wobec ogromu zadań, wykonano dopiero tyle — to nie jest to wina tej instytucji. Wprost przeciwnie — musimy oddać cześć już dziś tym ludziom, którzy w sposób dzielny, napotykając na różne trudności, tyle dokonali. Odczuwa się również w Olsztynie brak naukowej biblioteki państwowej z odpowiednim personelem i brak archiwum państwowego. **Jedyną** placówką jest Muzeum Mazurskie, mające tylko jednego muzeologa **płatnego.** Olsztyn walczy swą działalnością dotychczasową aby stać się żywym ośrodkiem twórczości naukowej, artystycznej i kulturalnej. Olsztyn walczy o właściwe rozwiązanie bolesnych problemów ludności autochtonicznej oraz scalenia jej z resztą społeczeństwa polskiego. Chce być też ważnym ośrodkiem promieniowania na północno-wschodnie tereny naszego państwa. **Nie dadzą jednak rady** sami dotychczasowi współpracownicy „Instytutu Mazurskiego", pracujący bezinteresownie i z oddaniem ideowym. Kompetentne czynniki muszą zrozumieć, że obok Studium Prawno-Ekonomicznego U. M. K., Instytutu Mazurskiego oraz Muzeum Mazurskiego **winny powstać inne placówki naukowe** i kulturalne oraz winni przyjść ludzie młodsi, pełni zapału, potrafiący pracować samodzielnie na polu naukowym czy kulturalnym. Bez tej kadry ludzi Olsztyn nie rozwinie w należytym stopniu tych możliwości i zasobów, które zastali na miejscu pierwsi pracownicy kultury w chwilach ugruntowania naszego stanu posiadania na ziemiach warmijsko-mazurskich i dolnego Powiśla w czasie gdy żołnierz polski w pogoni za wrogiem szedł na Berlin.

Jerzy Antoniewicz

Co robią Niemcy

Wizja Karola Hofera — Obłęd czy mania — „Telegraf" i Tito" — Granica jak olbrzymi przypływ

Karol Hofer: Czarne pokoje.

POWYŻSZY, w roku 1928 powstały, potem spalony, a w roku 1945 na nowo namalowany obraz Karola Hofera, malarza, nie uznanego przez reżim hitlerowski jako przedstawiciela sztuki zwyrodniałej, przedstawia pełną grozy wizję. Gołe cele, trzaskające drzwi, przechodzące i jak by automatyczne figury, w środku: przypominający jakieś upiorne bożyszcze dobosz — oto niezwykły i pełen ekspresji widok nieuniknionego domu wariatów, w jaki Niemcy Hitlera zostały zamienione.

REPRODUKUJĄC taki obraz w ilustrowanym miesięczniku „Pingwin" (luty 1947) i tej mniej więcej treści, jaką podano wyżej, objaśnienie pod nim umieszczając, Niemcy chcą równocześnie podkreślić albo po prostu uważają za oczywistość, że czas obłędu mają poza sobą, że przejrzały, że — naprawdę — nic ich już nie wiąże z ideami, głoszonymi jeszcze tak niedawno, że wyszły z „czarnych pokoi", że była to tylko chwilowe zaćmienie umysłów, że... Można by tu mnożyć w nieskończoność argumenty niemieckiej „logiki", ale czego nie można, to doszukać się w niemieckiej umysłowości samokrytycyzmu, tego samokrytycyzmu, który ocenia i analizuje współczesność, tego obiektywnego nastawienia, albo przynajmniej dobrej woli wobec samych siebie, która by im wyłącznie mogła pomóc do samooczyszczenia, katharsis, demokratyzacji, denazyfikacji, czy — nie wiem — jakiego tam jeszcze użyć wyrazu.

Tymczasem Niemcy zdają się zupełnie zapominać, że obłęd, to choroba ciężka, nieuleczalna; medycyna zna środki leczenia w początkowym stadium, ale tylko w pewnych wypadkach, nielicznych wypadkach.

NAZYWANIE obłędem tych stanów psychiki niemieckiej, jakie doprowadziły do zaistnienia wypadków i zdarzeń minionej wojny, nie jest wcale znowu takie trafne, a raczej nawet dla Niemców wygodne. Obłęd usprawiedliwia niepoczytalność. Można by raczej określić te wszystkie stany jako chorobliwe, podpadające pod choroby psychiczne, ale niekoniecznie obłęd. Raczej nazwijmy to manią wielkości, która w dziejach zawsze pchała Niemców do wojny, która wywołała najstraszliwszą w dziejach wojnę światową, jedną i drugą, która pokutuje tak samo i dzisiaj w narodzie niemieckim i każe mu zadzierać głowy nawet po najdotkliwszej w dziejach klęsce. Mania ta przybrała może w ostatniej wojnie poniekąd rozmiary obłędu, kierowała się jednak przeważnie rozumem politycznym, wyrafinowaniem i niebywałym sprytem.

DZISIAJ wynikiem tej manii są pewne ekscesy, które wcale często zwracają się przeciwko nam. Charakterystyczne pod tym względem i wyrafinowane nieraz w swych wywodach są wypowiedzi prasy niemieckiej odnośnie naszych granic zachodnich. Notowaliśmy już niektóre. Ostatnio znowu „Telegraf", dziennik ze strefy brytyjskiej Berlina, w numerze z 16 lutego 1947 r. na własny sposób interpretuje nasze prawa do Ziem Odzyskanych i postanowienia poczdamskie. Dziennik ten we wstępie artykułu „Polska a niemieckie tereny wschodnie" sugeruje zrazu, że Niemcy pragną w przyszłości żyć nie tylko w zgodzie, ale możliwie i w przyjaźni ze swymi byłymi wrogami. Uznają one w pełni swój obowiązek — pisze „Telegraf" — powetowania szkód, w pierwszym rzędzie odnośnie krajów najciężej wojną dotkniętych, jak Sowiety i Polska. Ale czy oderwanie dużych niemieckich obszarów jest drogą właściwą?" — pytają. Tupet i sylogiczność cechuje taki np. cytat z omawianego artykułu: „Polska mówiła często o nowoodzyskanych, starych polskich terenach zachodnich. Jak się ta sprawa przedstawia? Przede wszystkim — pisze „Telegraf" — po pierwsze: Nikt na świecie nie wątpi, że tereny znajdujące się obecnie pod zarządem polskim były czysto niemieckie... Jugosłowiański premier, Tito, myli się więc, jeśli mówi o etnograficznej granicy polskiej nad Odrą i Nysą".

Czy zdań takich nie dyktuje Niemcom ta sama mania, która ich gnała pod Stalingrad? Cóż warta jest treść artykułu noszącego taki tytuł? Jakiekolwiek współżycie możemy uznać tylko i wyłącznie na linii Odra — Nysa.

GDZIEINDZIEJ znów spotkaliśmy się z próbą dowodu, że 900 lat europejskiej historii sprawiły, iż Odra przestała być rzeką graniczną (Der Ruf der jungen Generation z 1 grudnia 1946). Nie przeczy się już tutaj, że przed 900 laty Odra dzieliła Polskę od ówczesnych niemieckich krajów i że w międzyczasie granica spłynęła od Odry na wschód, że ta granica obecnie jak olbrzymi przypływ wróciła, ale równocześnie stwierdza się, że tak ustalona granica nie będzie nigdy uznana przez naród niemiecki, wszystko jedno, dokąd i w jakim kierunku ma się go poprowadzić. „Takie ustalenie granic będzie i musi być powodem rozpalenia narodowych myśli o rewanżu".

TAK to w prasie niemieckiej, w tej czy innej formie, pokutuje jeszcze i sieje zamęt duch Hitlera. Metody i chwyty propagandowe pochodzą po prostu ze szkoły Goebbelsa.

wid.

Plon wędrówki

„Jako literat, jako obserwator ludzkich mechanizmów, nie zmarnowałem tych kilku tygodni, jakie mi się udało spędzić w Bawarii" — pisze *Jerzy Zagórski* w jednym z reportaży, wydanych w niedużym zbiorze (144 stronnicowym) pt. *„Indie w środku Europy"* (Sp. Wyd. „Książka" 1947). Jeśli weźmiemy pod uwagę parę świetnych wierszy, spory zapas wrażeń i omawianą książkę jako plon kilkutygodniowej wędrówki po Czechosłowacji i południowych Niemczech, należy stwierdzić, że plon ten jest rzeczywiście obfity.

Wszystkie niemal reportaże, zebrane w tej książce, czytałem już poprzednio z prawdziwym zainteresowaniem w czasopismach. Ale wówczas zwracały uwagę przede wszystkim fakty, doraźne spostrzeżenia, aktualność poruszanych problemów, no i niezależność stanowiska autora. W wydaniu książkowym, wobec poważnej próby „drugiego czytania" i częściowej deaktualizacji wielu problemów, na pierwszy plan wysuwają się walory literackie: swada, jasność opisów, trafne odnajdywanie analogii historycznych i inteligentne, dowcipne dygresje w najrozmaitsze dziedziny. Aby jednak owe walory literackie nie zmyliły czujności krytycznej odnośnie stosowania właściwego kryterium, wydaje mi się dość ważne określenie gatunku literackiego tej książki.

Czy literackiego?

Jestże to twórczość literacka *par excellence,* czy raczej z potrzeby czasu i obowiązku faktycznie dziennikarskiego, na podstawie notatek, robionych w pociągu wynikłe odtworzenie faktów, zaprawionych tylko literacko przez pisarza dużej kultury? Jakkolwiek w takich książkach jak „Drwiący Piłat" czy „Nad Zatoką Meksykańską" Huxley'a albo „W czerwonej Hiszpanii" Pruszyńskiego trudno ustalić ścisłą, bezwzględną granicę między tymi dwiema rzeczami, jednak przechylamy się w kierunku pierwszej, tutaj, w reportażach Zagórskiego odnajdujemy raczej fakty, które miały miejsce przed rokiem, o których dziś się jeszcze pamięta, ale za rok będą zapomniane i interesujące niewielu. Żywot takich prac jest efemeryczny, krótki, związany z datą ukazania się danego numeru pisma, które je drukuje, zaopatrując dodatkiem redakcyjnym: *Korespondencja własna* — i np.: *Monachium, w październiku.* Ich wartość zaś mierzy się wzrostem nakładu pisma w tym okresie. Tak jest za granicą. Taka była historia prac jednego z najznakomitszych reporterów Czecha — Gisha, dzięki któremu nakład — nie pomnę już którego z dzienników londyńskich — wzrósł o pół miliona egzemplarzy.

Jakkolwiek reportaże Zagórskiego tracą wiele w zbiorze książkowym właśnie na aktualności, są jednak świetne w swoim rodzaju, i podziwiać należy wszechstronność tego doskonałego poety, śmiałego publicysty, kulturalnego krytyka — i jak się okazuje — dobrego dziennikarza. Potrafił on wyłuskać wiadomości ciekawe, w tamtym okresie nowe i nieznane (zwłaszcza z życia Di-Pi), potrafił cytowane fakty podać w sposób interesujący i żywy oraz wyciągnąć daleko, nieraz za daleko idące wnioski. A w tym właśnie leży jakość reportażu.

Mimo jednak tych walorów inną, wyższą miarę będziemy przykładać do wierszy i wykorzystanych literacko wrażeń, przywiezionych z tej kilkutygodniowej wycieczki niż do „Indii w środku Europy".

Tomasz Ellen.

Życie Polaków w Niemczech

— Istnieją w Okręgu Hildesheim dwa obozy wojskowe (Gallwitz i Annahütte) i dwa cywilne (Diekholzen i Trillke-Werke). Ogółem — około 2500 mieszkańców. Od maja ub. roku istnieje w obozie Diekholzen szkoła fotograficzna (30 uczni), w której fachowi nauczyciele prowadzą wykłady ze wszystkich działów fotografii zawodowej. Dotychczas ukończyło szkołę pięciu uczni, którzy, uzyskawszy dyplomy fotografów zawodowych, otworzyli na terenie obozu Trillke-Werke spółdzielczy zakład fotograficzny do użytku mieszkańców obozów polskich. W tym samym obozie zorganizowana została zawodowa szkoła wyrobów drzewnych, mająca na celu szkolenie stolarzy. Okres nauki przewidziano na dziewięć miesięcy. Szkoła dysponuje dwiema salami warsztatawymi i jedną salą wykładową. Od dnia założenia szkoły (16. 9. 46) do chwili obecnej wykonało grono uczni (11 osób) 521 różnych prac stolarskich. Oprócz wyszkolenia zawodowego prowadzi się kurs ogólnokształcący w zakresie 7 klas szkoły powszechnej.

— W obozie Trillke-Werke istnieje szkoła kroju, szycia i trykotarstwa, mająca poza sobą duży dorobek pracy, o czym świadczyła urządzona tam wystawa. Podziwiano ogromną ilość pięknie wykonanej bielizny, modnych sukienek, ubrań dziecięcych, kapeluszy damskich, zabawek i wyrobów wełnianych.

— W ośrodku polskim w Landstuhl istnieje sąd obywatelski, zajmujący się sprawami, jakie wnoszą poszczególni mieszkańcy. Sąd ten jest interesującą inicjatywą likwidowania sporów w samym środowisku polskim, bez konieczności uciekania się do interwencji innych czynników.

BRONISŁAW KAMIŃSKI

Migawki paryskie

Paryż, w kwietniu.

ZE zdumieniem przeczytałem w 93 numerze krakowskiego „Przekroju" pochlebną recenzję o filmie Jean Cocteau „Piękna i Bestia", a także wzmiankę o tymże autorze utrzymaną w superlatywach. Leży przede mną jeden z jego tomów poezji, który zaczyna się fotografią autora z lalką ludzkiej wielkości, objętą pieszczotliwym uściskiem; takich fotografii w tym tomie w różnych pozycjach powtarza się pięć. I to jest w nim najistotniejsze, bo wiersze poza kilkoma udanymi kalamburami niczego nie zawierają po prostu. Kilkanaście lat temu czarowały może nowością formy, a dzisiaj są przeżytkiem, rozprysłą bańką mydlaną. Rzeczywiście Cocteau jest typowym synem epoki, tylko dla niej żył i z nią razem ginie. Degenerat, trochę pozer, zaplątany w atmosferę tajnych lokali, palarni opium i podejrzanych przyjaźni męskich. Jego życie i twórczość pełne są fotografii z nagimi lalkami, otacza je atmosfera skandali i drażniących sensacji. Nie jest to dzisiaj czołowa postać francuskiej literatury, która ma dużo szersze i zdrowsze podstawy od tych, jakie reprezentuje Cocteau. Dzisiejsza krytyka nie tylko odziera go ze sławy, ale rozprawia się z nim niezwykle ostro, odbierając mu wiele nawet z jego niezaprzeczalnych zdobyczy.

Znany krytyk Maurice Sachs ogłosił niedawno artykuł o wpływie Cocteau na epokę i stwierdza, że wpływ ten właściwie już się skończył, a za dwadzieścia lat nikt o czcicielu własnych rąk nawet nie wspomni. Inny krytyk, tym razem kobieta, Jacqueline Lenoir omawiając jego film zaczyna od słów „Poeto oddaj swą lutnię!" Cały Paryż stwierdził, że film ten po prostu autora zdyskwalifikował. Niektóre ładne pomysły inscenizacyjne stanowczo nie poprawiają beznadziejnej głupoty dialogów i na pewno nie usprawiedliwiają odarcia z poezji pięknej bajki. Kiedy Bestia staje się ufryzowanym gogusiem, przez salę kinową przechodził szmer rozczarowania.

Nie moim jednak celem jest krytykować i wyciągać same złe strony z otaczającego mnie życia, czynię to tylko dlatego, że po prostu nie rozumiem, dlaczego w Polsce, gdzie możnaby naprawdę odsłonić wybitnych i głębokich twórców francuskich — wysławia się Cocteau, przedstawiciela degeneratów. Gdyby przynajmniej wartości estetyczne, które wnosi ten autor były rzeczywiście wybitne, czyn byłby usprawiedliwiony. Ale tutaj ani wielkich wzruszeń estetycznych ani żadnych wartości moralnych. Czy rzeczywiście Polakom musi imponować to, co we Francji jest najgorsze?

WYSTARCZY iść obejrzeć wystawę Van Gogha aby wejść w inny świat i otoczyć się nieprzemijającym czarem sztuki. Myślę że czytelników „Odry" będę mógł oprowadzić w przyszłości dokładnie po współczesnym Paryżu, jego pisarzach i artystach. Zacząłem od strony negatywnej, aby tym bardziej uwypuklić zjawiska naprawdę piękne.

GDY już zatrzymałem się na filmie „Piękna i Bestia", to wypada powiedzieć coś o aktorze grającym tytułową rolę. Otóż jest to najbardziej wielbiony przez kobiety francuski aktor współczesny. Powstał nawet klub wielbicielek Jean Marais. Trzy tysiące rozwydrzonych furii paryskich stanowi kadry tego dziwacznego klubu. W sali klubowej odbywają się pokazy filmów wielbionego. Oklaski i rżenia samicze wypełniają spektakle. Któregoś dnia Jean Marais zjawił się w tym klubie osobiście. Namiętne niewiasty rzuciły się na nieszczęśnika żądając autografów, urywając mu guziki i klapy kieszeni. Gdy zmęczony odmówił jednej z tych furii — zamaczała w atramencie nogę ulubionego psa aktora i odbiła jego stopę na papierze. Zachowała przynajmniej pamiątkę po psie uwielbianego. Nie jest to jednak Paryż prawdziwy, zresztą Paryżów jest kilka i człowiek z każdej płaszczyzny może w nim znaleźć właściwe sobie wzruszenia.

Jeszcze jest jedna sprawa, która ciśnie mi się pod pióro. Mianowicie od chwili zlikwidowania armii Andersa we Włoszech, tygodnik tej armii „Orzeł Biały" przeniósł się z Rzymu do Brukseli. Nic ważnego zdawałoby się: jeszcze jedno pismo emigracyjne na tym terenie. Ale zaciekawił mnie przedostatni numer, w którym umieszczono obszerne opowiadanie Ferdynanda Goetla. Czy Ferdynand Goetel był naprawdę obrońcą Warszawy, jak pisze w swym opowiadaniu? Nie jestem politykiem i nie moją rzeczą jest klasyfikacja polityczna, ale chyba powinno się wszędzie wymagać nieco uczciwości i poczucia narodowego.

Bronisław Kamiński.

HENRYK WORCELL

ODWET

Fragment powieści

UNKTUALNIE o godzinie siódmej wszyscy domownicy zeszli się do wieczerzy. Stefan Opaliński ze swą żoną Genowefą, usiadł z jednej strony stołu, pozostałe miejsca zajęli Niemcy.

Było ich sześcioro.

Stara Hattwigowa, kobieta o smutnych i wiecznie zatroskanych oczach, kurtuazyjnie podsuwała miskę z twarogiem. Ona też jedna przy tym stole była istotą, na której spojrzenia Opalińskich zatrzymywały się bez niechęci, czy zakłopotania.

Jej dwudziestoparoletnia córka, Liza, stanowczo nie wiedziała co robić ze swoimi oczami. Co pewien czas spoglądała na Polaków, przez chwilę męczeńsko wytrzymywała ich spojrzenia i nagle, jakby spłoszona uciekała wzrokiem gdzieś pod powałę. Za chwilę powtarzało się to samo i tak aż do końca wieczerzy. Musiała patrzeć na Opalińskich, choćby jej to sprawiało mękę. Była to dziewczyna brzydka, o twarzy koloru cegły i długich, zajęczych zębach, które ukazywała w chwili, gdy przełykała jedzenie. Gdyby ją ubrać w mundur żołnierski, nikt by się nie domyślił, że to jest dziewczyna.

Stara Hattwigowa miała pięciu synów. Czterej byli nieobecni, nie wrócili jeszcze z wojny i nie dawali znaku życia. Piąty, imieniem Paul, siedział przy stole. Twarz jego piękna, ale martwa, nie wyrażała właściwie nic. W chwili, gdy się uśmiechał, wyglądał na grzecznego, dobrze wychowanego chłopca, któryby nawet żaby nie zabił. Inaczej, gdy był poważny. Opaliński, który ukradkiem obserwował tę twarz, bo mu przywodziła na myśl pewną groźną postać z obozu w Eulendorf, był pewny, że Paul ma na sumieniu conajmniej kilka ludzkich żywotów. Bardzo łatwo było Opalińskiemu wyobrazić sobie, że Paul nagle zrywa się z krzesła, salutuje sprężyście, krzyczy: „jawohl, Herr Leutnant!" i z zimną krwią strzela do wskazanego człowieka. Ale trzeba by mu wskazać, bo sam nie wiedziałby do kogo strzelać.

Lewą rękę stracił pod Stalingradem. W szpitalu wrocławskim dorobiono mu sztuczną, którą posługiwał się tak umiejętnie, że Opaliński pracując z nim zapomniał o jego kalectwie.

Istotą najmniej w tym domu przez Opalińskiego lubianą, była żona Paula, Greta. Genowefa nie nazywała jej inaczej, jak: „ta żmijka". Siedząc przy stole nigdy na Opalińskich nie patrzyła — wzrok jej, zimny i odpychający tkwił przeważnie w jakimś punkcie na ścianie. Patrząc na jej drobną, ale piękną twarz, zdawało się, że zastygła ona w chwili, gdy czyjaś ręka wymierzyła jej siarczysty policzek — wyraz zniewagi i urazu pozostał jakby odlany wosku. Wyrazu tego nie zmieniała nawet w chwili, gdy się pochylała nad dzieckiem, pięciomiesięcznym Reinhardtem, który leżał w wózku, pośrodku kuchni. Na pozdrowienia nigdy Opalińskim nie odpowiadała. Stara Hattwigowa mitygowała ją z tego powodu, ale to odnosiło wręcz przeciwny skutek. Genowefie udało się dziś rano podsłuchać sprzeczkę między Hattwigową a Gretą. Stara radziła zachować przynajmniej jakieś formy grzeczności wobec „tych przybłędów". Mówiła, że z nimi można jeszcze wytrzymać, że we wsi jest o wiele gorzej, bo tam Polacy rządzą się jak u siebie, a starych Klapperów, na przykład, zupełnie odsunęli od kuchni i krów.

— Bo stary Klapper głupi! — wybuchnęła Greta. — A czemuż to Wolff daje sobie radę? Czy matka wie o tym, że on nawet chleba tym przybłędom nie daje, muszą sobie u piekarza kupować za swoje pieniądze. A jabym tym naszym przynajmniej mięsa nie dawała. Nie pracują, to niech nie jedzą. My możemy zjeść pokryjomu, a do obiadu zupa i kartofle dla wszystkich.

Słowa Grety bardzo Genowefę rozsierdziły. Niemal z płaczem powtórzyła je Stefanowi, domagając się, by zszedł na dół i powiedział parę dosadnych słów „tej żmijce". Stefan jednak wolał tę sprawę załatwić wieczór przy stole. Dlatego też zeszli dziś do wieczerzy milczący i nachmurzeni, co nie uszło uwagi starej Hattwigowej, która szczodrym częstowaniem starała się rozchmurzyć czoła Opalińskich.

Przy stole siedziała też młoda dziewczyna, czternastoletnia Lucy, służąca Hattwigów. Właściwie była ona Polką; ojciec jej, szewc mieszkający w tutejszej wsi, nazywał się z śląska Mocek i po polsku mówił zupełnie poprawnie. Matka trochę gorzej, ale jej panieńskie nazwisko: Paschilke, też świadczyło o jej polskości. Dzieci natomiast prawie słowa polskiego nie znały i Genowefa tylko uporem zmusiła Lucy do mówienia „dzień dobry" zamiast „gut Mor[illegible]n".

Dziewczyna ta, usposobiona do Polaków nieżyczliwie, widząca w nich tylko obcych przybyszów, którzy pragną odebrać Niemcom ziemię i chleb, wyraźnie ulegała wpływom Grety. Zachowanie się jej podczas dzisiejszej wieczerzy było dość szczególne. Nie spoglądała na Opalińskich jak zwykle, unikała ich spojrzeń, jak gdyby w obawie, że będzie musiała się do nich uśmiechnąć. W sposób miły, dziewczęcy, przygryzała dolną wargę i wielkimi oczami zamiatała pajęczynę gdzieś pod powałą — gdyby ją posmarowano sadzą, wyglądałaby w tej chwili jak murzyniątko, które się wypiera, że wcale a wcale nie ruszało konfitury ze słoika.

Wreszcie obok tej dziewczyny, w skupieniu i powadze zajadał swoją porcję twarogu stary, wąsaty mężczyzna, o twarzy pociągłej i przyjemnej. Ten również nie należał do rodziny Hattwigów. Opalińscy widzieli go tu parokrotnie w jesieni, gdy przychodził pomagać Hattwigom przy koszeniu potrawu i kopaniu ziemniaków. Nie wiele z nim wówczas rozmawiali, zapamiętali tylko jego łagodną twarz i częste powiedzonko: „ja, ja, so ist das...". Od tego czasu nie pokazywał się tu, a jeśli był kiedy, to pewnie podczas ich nieobecności. Dziś przyszedł późnym popołudniem i został na wieczerzy. Ale teraz nawet od tego staruszka, mimo jego przyjemnej twarzy, wiało jakąś obojętnością, brak w nim było owego ciepła, które odczuwali parę miesięcy temu.

Tak więc Opalińscy wcale nie czuli się w tym domu, jak u siebie. Wchodząc do kuchni doznawali nader przykrego uczucia: oto zdawało im się, że ze wszystkich kątów, od tych sześciu wrogich istot, wystrzelają ku nim stalowe druciki i zahaczają się o ich serca, a im dłużej w kuchni przebywali, tym bardziej się druciki naprężały. Zdawkowe uśmiechy i grzeczne słówka w rodzaju: „bitte", „danke schön", raczej naciągały tę bolesną więź niż ją rozluźniały. Wreszcie Opaliński zaczynał rozumieć, że w stosunku do tych ludzi trzeba znaleźć jakiś inny, niż dotychczas, sposób postępowania. Trzeba druciki w gwałtowny sposób przerwać. Ze zgorszeniem uświadomił sobie ten fakt, że im łagodniej odnosił się do Hattwigów, tym bardziej Hattwigowie go lekceważyli, im grzeczniej do nich przemawiał, tym bezczelniej mu odpowiadali, im bardziej był w stosunku do nich nieśmiały, tym śmielej oni sobie poczynali. Widocznie łagodność, grzeczność i nieśmiałość Opalińskiego poczytywali za jego słabość, może wyraz niepewności swego stanowiska „Treuhändera" na tym gospodarstwie, powątpiewania w trwałość swego pobytu w tym domu. Był to bowiem okres zimowy 1946 roku, kiedy Niemcy Dolnego Śląska nie wierzyli jeszcze w możliwość wysiedlenia ich za Nysę i nie przypuszczali, że za trzy miesiące znajdą się na punkcie zbornym w Kalawsku. Co prawda Polacy też nie byli pewni, kiedy to nastąpi i czy w ogóle nastąpi. We wsi zdarzały się tak kontrastowe wypadki, jak na przykład u porucznika Stopki, który już zupełnie opanował gospodarstwo Adlera, wydzielał im jedzenie i traktował ich tylko jako siłę roboczą i u górala Warduły, który z żoną i synem mieszkał kątem u Wolffa i nie miał odwagi upomnieć się u niego o kromkę chleba. Po wsiach, samorzutnie, bez zezwolenia powiatowych, czy gminnych władz, tworzono komisje osiedleńcze, które odwiedzały osadników, przydzielały im lepsze mieszkania, pościel i ograniczały swobodę Niemców odbierając im klucze od śpiżarń i piwnic. Przy tej sposobności urządzano rewizje i wykrywano broń palną. Milicjantów było tak niewielu w miasteczku gminnym, że tylko w wyjątkowo drastycznych wypadkach, na wezwanie sołtysa zjawiali się we wsi. I znów ad hoc tworzone komisje gromadzkie, bez pomocy wyższych władz, musiały sobie radzić z opornymi Niemcami i ich niepowołanymi obrońcami.

Opaliński, który jako członek komisji osiedleńczej kilkakrotnie już brał udział w likwidowaniu polsko-niemieckich zatargów, postanowił sprowadzić w najbliższych dniach swoich kolegów do domu Hattwigów. A tymczasem, już dzisiaj wieczór przerwać nieznośne druciki.

Zjadł kolację, zapalił papierosa i w milczeniu przypatrywał się, jak Paul z pomocą swej sztucznej ręki, również skręca tytoń w bibułkę.

— Przypatrz się — rzekł wreszcie do żony — ta żmijka nigdy mu nie pomoże ani ziemniaków obrać, ani papierosa skręcić.

— Właśnie — przytaknęła Genowefa — ja to samo zauważyłam.

— No... — dodał Stefan z namysłem — może to nie jest tak złe, może on właśnie nie chce, żeby mu pomagała, chce się nauczyć wszystko sam robić. Rozmawiali śmiało, byli pewni, że z obecnych tu Niemców nikt po polsku nie rozumie.

— Oni dzisiaj jakoś dziwnie zamyśleni — powiedziała Genowefa. — Pewnie usłyszeli jakieś niedobre wiadomości. Nie po darmo ten stary tu przyszedł.

W tej chwili Stefan zauważył, że Greta i Paul zerknęli na starego, ten zaś poruszył się na siedzeniu i westchnął: „ja, ja, so ist das". „Czyżby Greta rozumiała po polsku?" — pomyślał Opaliński.

— Wiesz — rzekła po chwili Genowefa — gdy patrzę, jak oni jedzą, to mnie złość bierze i równocześnie śmiać mi się chce. Jacy oni śmieszni! Jedzą z taką powagą, jakby jakieś nabożeństwo odprawiali, jakby to była dla nich najważniejsza sprawa na świecie.

— A tak — potwierdził Stefan — w tej chwili to dla nich rzeczywiście najważniejsza sprawa, ale w dzień, kiedy pracują, to też z taką powagą, jakby ta praca była sprawą najważniejszą.

— Prawda, oni nawet gdy się bawią, gdy po kolacji grają w karty, to tak samo ze śmiertelną powagą. Ach, ha ha ha... — wybuchnęła nagle śmiechem ściągając na siebie zdziwione spojrzenia Niemców — ach, przyszło mi coś na myśl, ale ci tego nie mogę powiedzieć...

— Nie potrzebujesz, ja się i tak domyślam. Ale wiesz, to trochę nie ładnie, że w „towarzystwie" rozmawiamy obcym językiem.

— No to powiedz im wreszcie coś po niemiecku.

— No dobrze... — tu Opaliński zwrócił się do starej — Frau Hattwig...

— Bitte?

— Od jutra proszę nam przysyłać jedzenie na górę do pokoju — rzekł po niemiecku.

Stara, zaniepokojona, wpatrzyła się w niego, Liza i Lucy spojrzały na sufit, tylko mężczyźni i Greta nie podnieśli głów sponad stołu.

— Jaaa — rzekła wreszcie stara — ale dlaczego, dlaczego nie chce pan jeść z nami?

— Bo pani Greta nie może nas znieść, a my jej.

— To nie prawda, pan się myli.

— Ja, Herr Opalińsky — przytaknął Paul — panu się tak tylko zdaje. Moja żona już tak zawsze wygląda, ale nic złego nie myśli, [illegible]n jej nie zna, ona zawsze jest taka...

— Nie, nie — przerwał Opaliński — ja już wiem, co ona myśli, ja wiem, że ona nas nienawidzi.

Greta trochę stropiona, trochę urażona, uśmiechnęła się ironicznie i wstrząsnęła włosami.

— Sie sind komisch — powiedziała szyderczo.

Na policzkach Gonowefy ukazały się wypieki.

— Komisch, komisch — wykrzyknęła niemal. — Pani jest komiczna. Pani nam chce jedzenie ograniczyć, mięsa nam nie dawać, a jak ja zechcę, to pani kawałka chleba nie dam. To ja trzy lata w „lagrze" szpinak i karpiele musiałam jeść, a ty mi tu będziesz jeszcze mięsa żałować? Czekaj, czekaj — dokończyła po polsku — ja ci jeszcze nie raz przypomnę, to coś rano mówiła!

Greta zastygła w bezruchu, wewnętrznie jakby cofnęła się w głąb siebie, twarz jej stała się zła, kamienna. Stary Niemiec, na którego Opaliński spojrzał, znów poruszył się i westchnął: „ja, ja, so ist das".

— Herr Opalińsky — zaczął znów Paul — ja pana przepraszam w imieniu żony, ona jest czasem... może nawet powiedziała coś niewłaściwego, ale...

— Słuchaj pan — przerwał mu Opaliński — ja już nie raz opowiadałem wam, co Niemcy z nawPolsce robili i cośmy z żoną w lagrach przeżyli Zresztą pan sam o tym dobrze wie, niech pan nie udaje niewiniątka. Wam za te wszystkie łajdactwa należy się przynajmniej pięć lat obozów koncentracyjnych, tych obozów, któreście sami stworzyli. Ale nie, my nie jesteśmy Niemcami, my nie potrafimy tak, jak wy, ludźmi poniewierać i tysiącami mordować. My chcemy tylko jednej rzeczy: żeby was wreszcie nie widzieć, żebyście się stąd jak najprędzej wynieśli. To jest cała nasza zemsta. Ale jeżeli taka pani Greta jeszcze teraz, po tych wszystkich waszych okropnościach, chciałaby nas w dalszym ciągu karmić lagrową zupką i nie nawiścią, to ja muszę jej za to odpłacić. I od dziś dnia będziemy żyli inaczej. Chodźmy Genia — dokończył po polsku i wstał z krzesła.

Przed drzwiami zatrzymał się jeszcze.

— Frau Hattwig, proszę więc nie zapomnieć, od jutra jedzenie przynosić nam do pokoju. Lucy, ty rano, o godzinie szóstej, nie, o wpół do siódmej, napalisz nam w piecu. I codziennie rano i wieczór będziesz nam palić, rozumiesz?

— Ja, Herr Opalińsky — przytaknęła dziewczyna.

— Dobranoc — powiedział jeszcze Stefan po polsku.

— Dobranoc! — odpowiedział mu chór głosów.

* * *

Gdy weszli do swego pokoju, Genowefa z wielkiej uciechy rzuciła się na kanapę i kilkakrotnie klasnęła dłońmi.

— A to dobrze, a to dobrze; Dobrześ im powiedział! Już teraz żmijka nie będzie zadzierać nosa. I wiesz, to przyjemnie, że będziemy jeść tutaj sami. Ja tam już nie mogłam wytrzymać. Wiesz Stefku, ile razy musiałam tam wejść, zawsze mnie odpychało od drzwi, musiałam się zmuszać, że by chwycić za klamkę. A kolacja to mi wcale nie smakowała, jadłam tylko, bo musiałam. W ogóle, ja ich nie chcę widzieć, nie chcę się z nimi spotykać.

Stefan roześmiał się, jak gdyby żona jego powiedziała coś bardzo naiwnego.

— Aha, to ty sobie wyobrażasz, że w ogóle nie będziemy się z nimi spotykać?

— No, tak całkiem znowu nie... Ja wiem, musimy się wreszcie rozejrzeć po gospodarstwie, bo...

— Właśnie trzeba będzie częściej zaglądać do stajni, zobaczyć jak oni tam bydło karmią. Ja muszę się wreszcie zapytać Paula o płodozmian. A jutro rano pójdziemy do wsi. Trzeba wreszcie sprowadzić komisję, niech tu zrobią porządek. Pomyśl, porucznik Stopka już całkiem rządzi gospodarstwem, sierżant Molenda też, Mitręga już sam młóci. Zresztą, rozumiesz, tu nie chodzi koniecznie o to, żeby robić, ale trzeba się dokładnie wszystkiemu przypatrywać. Musimy być przygotowani na wypadek wysiedlenia Niemców.

Genowefa spoważniała, zamyśliła się.

— Jakie to dziwne — rzekła wreszcie.

— Co takiego?

— No, to wszystko... Żeśmy tu są. Nas tylko dwoje, a tamtych cała chmara. I muszą nas słuchać i robić, co my chcemy. Gdy sobie pomyślę, jakeśmy rok temu... tak, akurat rok temu, tam w Miliczu przy okopach marzli... A ci Niemcy jak nami pomiatali... Pamiętasz tego oficera, co meldunek zawsze przy zbiórce odbierał? — tu Genowefa wstała, przeszła przez pokój sztywnym krokiem, naśladując pompatyczny chód oficera i butny wyraz jego twarzy i grubym głosem wypowiedziała: „Jak się będziecie dobrze sprawować i punktualnie na zbiórkę przychodzić, to zawsze powiem wam „gut Morgen" A na drugi dzień, jak przyszedł i powiedział „gutmorgen", to tylko paru Czechów odbąknęło mu: „gut-morgen", a reszta ani mru-mru. Ani Francuzi, ani Warszawiacy, ani Włosi. Ha, ha, to byłoby zabawne, gdybyś ty zeszedł tam do nich i powiedział, że jak się będą grzecznie sprawować, to im zawsze powiesz „dzień dobry".

— A wiesz, jestem pewny, że to by im zaimponowało! I nicby w tym śmiesznego nie dostrzegli. Gdybym tak powiedział, wcalebym się przed nimi nie wstydził, tylko przed sobą samym czułbym się głupio.

— A jabym powiedziała. A zresztą nie wiem. Acha, ciekawam, czy Lucy przyjdzie jutro w piecu rozpalić. Taka smarkula... Kiedyś, jak ciebie nie było, pytam się jej, czemu po polsku nie mówi, dlaczego nie chce być Polką, a ona tylko: y... y..., ramionami rusza i nic nie mówi. Czekaj, ja ją jeszcze nauczę, ja ani jednego słowa po niemiecku nie będę do niej mówić.

— W tej chwili coś zaskrobało do drzwi.

— Stefku, puść ją, niech wejdzie.

Do pokoju wbiegła, a raczej wpadła jak piłka gumowa, chuda ratlerka Hansi. Kilka razy odbiła się od podłogi, wskoczyła na łóżko i na kolana Stefana, a grzbiet jej, kark i głowa drgały na wszystkie strony, jakby nadziane sprężyną.

— No już dosyć, dosyć — zaśmiał się Stefan ocierając twarz rękawem — wynoś się ze swoim jezorem, idź tam do Gieni.

Genowefa zawczasu przycupnęła twarzą do sofy, zasłoniła głowę rękami i zanosiła się łaskotliwym śmiechem, podczas gdy Hansi tańczyła po niej.

Wreszcie miała już dość tej zabawy i jednym słowem odpędziła zwierzę do siebie.

— Loos! — powiedziała groźnie, a Hansi skuliła się i chyłkiem odeszła ku Stefanowi.

— Och — westchnęła Genowefa poprawiając włosy i patrząc gdzieś poza ściany pokoju — jak ja tego słowa nie lubię! Loos! Loos!... Aż mnie ciarki przechodzą... Loos! Loos!... Zdaje mi się, że taki w niebieskim mundurze i w hełmie, bije mnie kolbą po plecach. Loos! Loos! Loos!...

Hansi zupełnie skulona wsunęła się pod nogi Stefana.

Henryk Worcell.

ALEKSANDER BAUMGARDTEN

Niedobra godzina

Wiecie: bywa tak czasem — aż przystaniesz nagle,
musisz sprawdzić wspomnienie, czy idzie wraz z tobą,
i już płyniesz, już płyniesz pod spłowiałym żaglem —
zbłąkany kapitanie z niewierną załogą.

W grzywach spłoszonych czasów wspomnienia, jak wstążki,
wplatane ręką dziewcząt od wiatru szalonych;
a tutaj... wiatr szeleści tylko w kartach książki.
Zamknij wspomnienia w oczach, jak miłość w ramionach.

Odnalazłem Cię przecie. — Nieprawdopodobne!
Oczy miałaś, jak moje: niewierne spotkaniu
i słów nie chciały znaleźć usta niesposobne,
ciężko było uwierzyć, że to wszystko na nic.

Kamień by się nie wzruszył, cóż dopiero — serce,
w tej niedobrej godzinie, co nie chciała minąć,
brakło goryczy gestu, co smutek potwierdza —
więc nawet źle nie było, choć źle być powinno.

Żeby ktoś nas rozwikłał, od siebie odgrodził —
jakiś przechodzień, księżyc, latarnia czy okrzyk
— ale nie — było cicho — i nikt nie nadchodził
i księżyca ni śladu, tylko my — w swych oczach.

Więc trzeba było kończyć. Trzeba było odejść,
czas już chwile za ciężkie umniejszyć o patos —
trudniej jest o nienawiść niż o smutną zgodę.
Słucham echa Twych kroków: cóż odpowiem na to...

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

Drogi

Drogi, drogi których nie pokonam.
(Nie pytajcie gdzie zapał!)
Drogi oliwne, drogi czerwone,
oparte jak sztalugi o zachód.

Zbiegły się pod sercem, przejdą na wskroś
nie nadążę — wyminą spojrzenie.
Pola — zastrzelone, olbrzymie latawce
moją młodość przedrzemią.

Drogi, drogi zmurszałe,
do pagórków przyschnięte, wychudłe.
Drogi, drogi kiedyś wydeptane
przez jelenie szukające źródła.

Lecz nie myślę, idę.
Ciężko niosę obłok na grzbiecie.
I wiem z góry: nie dojdę nigdzie.
I wiem z góry: wy za mną pójdziecie!

Pieśń harpuniarzy

Nie uderzaj, nie koleb, nie zmożesz!
Karku nie czesz o maszt!
Już nie zliżesz z bakgardów zorzy
wspartej o naszą twarz.
Hej ho! Ohoj!

Wymłóciły kłos stalowy wiatry,
że aż ziarnem — harpunami prysł.
Wielorybim tłuszczem się zatarł
na szalupie pisany list.
Hej ho! Ohoj!

Miele śruba otchłań na pianę —
szkwał schorzały jak szkorbut ją żre.
Niebo wzrok nam zamyka klamrą
zwisającą u rzęs.
Hej ho! Ohoj!

Wschód czy północ, południe, zachód,
przerzucamy szybko wśród rąk.
A o zmierzchu kolorowym światłem
rozpruwamy wieczoru dno.
Hej ho! Ohoj!

Krwawe algi cień nasz wywleka
i słyszymy topielców śpiew.
Głębia czyha. A dziewczyna daleka
fiszbinowy grzebień chce mieć.
Hej ho! Ohoj!

Tran nam pachnie nocami,
nie perfumy La Fleur!
I do miast nie wrócimy zanim
wszystkich fal nie zniżymy na rejs!
Hej ho! Ohoj!

STANISŁAW TELEGA

Duchy nad Paryżem

Salonik p. Mickiewiczów w Paryżu w r. 1844. Okno z widokiem na klomby. Po lewej stronie wielki, porcelanowy piec z mosiężnymi prętami. Na kominku pod owalnym kloszem zegar z głową Napoleona. W kącie kozetki. Na biurku popiersie Napoleona. Po prawej stronie fortepian. Przy fortepianie siedzi **Xawera Deybel** i grając śpiewa „Słowiczku mój, a leć, a leć". Ubrana w bladoszafirową suknię z pączkami drobnych różyczek. Wchodzi **Celina Mickiewiczowa**, ubrana w czarną suknię. Gładko uczesana, z dwoma pukiami włosów po bokach.

Celina: — Xawero!... Xawero!

Xawera: (odwraca się) — Słucham się, Celino...

Celina: — Przerwij grę, Xawero, chcę z tobą pomówić.

Xawera: — Czy to coś ważnego?

Celina: — Tak. (po chwili) Widzisz, Xawero, dziś jest wielki dzień. Może największy w dziejach świata.

Xawera: — Wiem o tym. Ale dlaczego „może?!" Na pewno największy! Czyżbyś nie wierzyła, Celino? I to ty, która jesteś najwierniejszą siostrą naszej świętej sprawy? Czyżby ten parny wieczór lipcowy odbierał ci spokój? Czy wiesz, że już sama myśl, jedno drgnienie niewiary w naszą sprawę jest grzechem? (Celina milczy)... Celino, Celino!! Co się z tobą dzisiaj dzieje? Cały dzień jesteś taka melankoliczna. Ach, gdybyś wiedziała, jaka ja jestem dziś radosna i pełna wiary! Ja tak wierzę w naszą sprawę, w Mistrza, w Adama! Tak długo czekaliśmy na ten dzień, na tę chwilę, przez Mistrza wyprorokowaną. Dziś jasne kolumny duchów, modlitwą naszą ściągnięte nad Paryż, napełniają powietrze, duszę i myśli wszystkich naszych braci... Nasi bracia są już przed Hotelem Inwalidów, gotowi może do wymarszu, aby sprowadzić nową epokę dla świata? A z nimi on... wielki i promienny od wiary, od płomienia bożego.

Celina: — Kto... on?

Xawera: — Jakto kto? Adam!

Celina: — Myślałam, że mówisz o naszym Mistrzu.

Xawera: (zmieszana) — Ach, Mistrz.... no tak, on także z nami, z braćmi. Ale czemu, Celino, tak patrzysz na mnie? Czy ja coś złego powiedziałam?

Celina: — Nie... powiedziałaś tylko prawdę... I właśnie o tej prawdzie chcę z tobą mówić.

Xawera: — Nie rozumiem cię, Celino...

Celina: — Dziś dzień prawdy i najwyższego napięcia Koła. Dlatego pomówimy o prawdzie, ale innej. Między mną, a tobą. Pomówimy jednak nie jak dwie siostry, ale jak dwie kobiety.

Xawera: — Jak dwie kobiety? Nie rozumiem cię, Celino.

Celina: — Usiądźmy... Pamiętasz, Xawero, ten dzień, kiedy przybyłaś po raz pierwszy do naszego domu jako nauczycielka moich dzieci?

Xawera: — Naturalnie, droga siostro. To był dzień, w którym zaczęło się dla mnie nowe życie.

Celina: — Pamiętasz więc dobrze, w jakim stanie znajdowałam się wówczas ja i Adam. Pamiętasz moją chorobę, najstraszliwszą chorobę, jaka może spotkać człowieka, a cóż dopiero kobietę. Mój obłęd zrujnował szczęście nie tylko moje, ale i Adama... Biedny Adam... Ile on wtedy wycierpiał! Przyjaciele spędzali u niego całe noce, śpiąc na podłodze, bo obawiali się, że może się targnąć na swe życie. A on!!... I wtedy zjawił się Mistrz.., Uzdrowił mnie częściowo. Adam był wstrząśnięty, olśniony! Mistrz przyniósł mu to, na co czekał tyle lat. Rzucił iskry na prochy jego ducha... Adam czekał na niego od dawna, prorokował go przecież, zapowiadał w widzeniu księdza Piotra... Ja też uwierzyłam w Mistrza. Przyniósł mi podwójne szczęście. Zdrowie duchowe i szczęście rodzinne. Bo ja, przyznam ci się, Xawero, dopiero wtedy zaczęłam żyć pełnym szczęściem.

Xawera: — Dopiero wtedy?

Celina: — Tak, dopiero wtedy... Widzisz, początkowo, po naszym ślubie, byłam wprawdzie najszczęśliwszą kobietą pod słońcem... Czułam, jak jestem Adamowi potrzebna, widziałam, że mnie kocha. Był w takim dobrym usposobieniu. Patrzał na mnie, jak od rana robię kawę, jak to niby gospodaruję, kręcę się, świegocę i śmieję się, śmieję do rozpuku aż do wieczora. Nie myśleliśmy o przyszłości, oddychaliśmy tylko teraźniejszością. Ale szczęście zachmurzyło się szybko... Nie przez troski materialne, choć i tych nie brakło... Ale wiesz Xawero, co to znaczy pokochać człowieka tak wielkiego, jak Adam, człowieka największego w Polsce?! W promieniach jego sławy czułam się inną, lepszą, podniesioną jakby na skrzydłach... Zdawało mi się, że usta, które szepczą jego wielkie imię w kraju i tutaj w Paryżu, wznosiły i mnie, jego żonę... Że czoła, które się przed nim schylały, i przede mną się jakby schylały, jego żoną... To może bardzo próżne, takie kobiece, ale przecież jestem kobietą tylko...

Xawera: — Cóż więc przeszkadzało ci w szczęściu?

Celina: — Ona! Ona!!

Xawera: (wstaje) — Ona? Kto?

Celina: — Ona. Ta, której imię jest w jego poezji na każdej stronie, rozjaśnione perłami, światłami. Jej imię umiała cała Polska na pamięć, nie moje, jego żony, która dała mu przecież wszystko, więcej niż tamta.

Xawera: — Maryla!

Celina: — Tak, Maryla... Ale, uwierz mi Xawero, że nie mówię tego przez próżność, przysięgam ci na prochy mojej matki... nie przez próżność ale przez miłość tak smutną i obłąkaną (zakrywa oczy i płacze).

Xawera: — Uspokój się, Celino... ja cię dobrze rozumiem, więcej niż przypuszczasz... Więcej, naprawdę więcej!... Przeklęta poezja! (podchodzi do szafy bibliotecznej)... Znam te książki, znam... Miłość świeci w nich na każdej stronicy, żywa, wiecznie piękna... piekielnie piękna! Przeklęta poezja!... W tych książkach żyje ta kobieta z Tuchanowicz, dziś pani hrabina Puttkamerowa! Kobieta, „jakiej na podsłonecznym nie bywało świecie...", pani hrabina... ha, ha, ha! (odwraca się nagle porywczo)... Ale, Celino, nie rozumiem dlaczego właśnie dziś dręczą cię te sprawy... pomyśl, że za godzinę, za chwilę może rozstrzygnie się wszystko, nastanie nowy świat, nowe życie... (podchodzi do fortepianu, przebiega palcami po klawiaturze, odwrócona od Celiny. Celina przestaje płakać, podchodzi do niej i kładzie jej ręce na ramionach. Patrzą sobie przez chwilę w twarz).

Celina: — Pytasz dlaczego dziś?... Bo dziś jest dzień prawdy. Więc dziś powiem ci drugą moją prawdę. Maryla żyje nie tylko w książkach. Maryla jest tutaj.

Xawera: — Tutaj? Cóż ty mówisz, Celinko? Gdzie?

Celina: — Tutaj, przede mną.

Xawera: — Przed... o kim ty mówisz...

Celina: — O tobie!!

Xawera: — O mnie?!!

Celina: — O tobie! O drugiej Maryli. Albo o pierwszej, która odżyła w tobie. O tobie, która masz oczy błękitne, jak jeziora litewskie, a głos czerpany ze słowiczych nut Świtezi. O tobie, która zjawiła się w naszym domu jak Świtezianka z jego ballady. Na którą tak samo czeka, jak na Mistrza.

Xawera: — Celino!!

Celina: — Nie zaprzeczaj.— Ja cię nie obwiniam, tak jak nie mogę obwiniać Mistrza.

Xawera: — Ależ Celino. Adam kocha ciebie...

Celina: — Nie, on kochał tylko Marylę, a jeżeli ciebie teraz kocha, to tylko dlatego, że widzi w tobie Marylę. Tę Marylę, o której na cztery lata przed naszym ślubem napisał do przyjaciela, że „ona zawsze ma w sercu jego miejsce, z którego nikt jej nigdy nie usunął i gdzie jej nikt nie zastąpi". Tak, Xawero, nie zastąpi nikt w jego sercu kobiety, której parę słów skreślonych do jego przyjaciela wywołało w nim takie wrażenie, że płakał na widok tych słów jak dziecko! Xawero, ja twoją wyższość duchową i fizyczną nade mną uznaję, choć się długi czas przeciw temu buntowałam. O jedno cię błagam. Nie uwikłaj jego ducha, nie zniż go niskością ziemi i magnetyzmem. Błagam cię i zaklinam na te jasne kolumny duchów, których miliony zalegają dziś cały Paryż...

Xawera: — Ależ, Celino... ja kocham Adama tak, jak my go wszyscy kochamy, jako zastępcę Mistrza i najwyższego ducha polskiego... Ja go kocham jak siostra.

Celina: — Nie, ty go kochasz jak kobieta.

Xawera: — Celino!

Stanisław Telega.

»Oresteja«

w Państwowym Teatrze Polskim

Zofia Małynicz (Klitajmestra), Elżbieta Barszczewska (Elektra), Jan Kreczmar (Orestes) i Antoni Cezarewicz (Pilades) w „Oresteji", inscenizowanej przez dyr. Arnolda Szyjmana.

Jest to trylogia, opowiadająca dzieje Orestesa. Powstała w V wieku przed Chrystusem. Twórcą jej był ojciec tragedii greckiej — Ajschylos. Z licznych jego dzieł zachowała się w całości tylko *„Oresteja"*. Składa się z trzech części: *1. Agamemnon, 2. Choefory (Ofiarnice), 3. Eumenidy.*

Agamemnon, chcąc uprosić boginię Artemidę o przychylne wiatry dla floty greckiej, zdążającej pod Troję, zabił bóstwu w ofierze własną córkę Ifigenię. Za to, po powrocie do Argos, zostaje z zemsty, podstępnie zamordowany przez żonę Klitajmestrę. Ofiarą Klitajmestry jest także piękna branka Agamemnona — Kasandra.

Część druga — *Ofiarnice* — jest właściwą historią Orestesa, który oddany na wychowanie przez Klitajmestrę do Fokidy, powraca do domu, powodowany przez pana Wyroczni Delfickiej — Apollona, nakazującego mu zemstę na zabójczyni ojca. Orestes morduje Aigistosa, kochanka Klitajmestry, matkę, ale ścigany przez Erynie, boginie zemsty, chroni się w świątyni Apollona, który odsyła go do Aten, gdzie rządzi dobrotliwa bogini — Pallas-Atena.

W części trzeciej — *Eumenidy* — dopędzają Orestesa pod posągiem Ateny Erynie. Pallas-Atena zwołuje lud ateński, ustanawia sąd,

Scena z drugiej części „Oresteji" Ajschylosa. Elektra — Elżbieta Barszczewska, Orestes — Jan Kreczmar i Chór Służebnic.

który przez głosowanie ma Orestesa uwolnić od kary i zmazać winę matkobójstwa, albo oddać na pastwę Erynii. Zjawia się Apollo. Broni on w obliczu autorytetu Ateny Orestesa, a Erynie oskarżają. Głosy sędziów dzielą się na dwie równe części. Atena dodaje swój za oskarżonym. Orestes jest oczyszczony i wolny. Obrażone Erynie grożą zemstą, ale pod wpływem Ateny dają się przebłagać i już nie jako groźne boginie zemsty, ale łaskawe bóstwa ogniska domowego — Eumenidy — przyjmują gościnę w Atenach, w grocie pod wzgórzem Aresa.

Taka jest pokrótce treść tragedii. Jak wiadomo tragedia grecka powstała z uroczystych obchodów religijnych, urządzanych na cześć boga Dionizosa. W uroczystościach tych najważniejszy był chór, śpiewający pieśni o mitycznych bohaterach i ich czynach. Z biegiem czasu z chóru wyodrębnił się przodownik chóru, następnie jeden aktor, a za czasów Ajschylosa było już dwóch aktorów. Ajschylos, wierny tradycji, tak prowadzi akcję, że na scenie nie ma nigdy więcej elementów.

W tym też tkwi największa trudność pokazania tragedii greckiej dzisiejszemu widzowi, przyzwyczajonemu do wielkiej ilości aktorów, jednocześnie działających na scenie. Następnie czas trwania przedstawienia. Dzisiejszy inscenizator, skrępowany wielkością sceny i koniecznością zamknięcia widowiska w ramach dwuch, trzech godzin, ma wielkie trudności do zwalczenia.

Teatr Polski dekoracyjną stronę widowiska rozwiązał i opracował wspaniale. Czy to pałac królewski w Argos, czy fronton świątyni Apollina w Delfach ze wspaniałymi kolumnami — wszystko zrobione z imponującym rozmachem i troską o jak najwierniejszą autentyczność. Wspaniały jest pejzaż grecki w drugiej odsłonie trzeciej części, z nadludzkiej wielkości posągiem Pallas-Ateny, na tle błękitnego nieba i ubogich w roślinność wysepek, oblanych szmaragdowym morzem. Słowa największego uznania należą się twórcy dekoracji i kostiumów — *Wacławowi Borowskiemu.* Nie wiem czy znalazłby się dziś u nas drugi artysta, który potrafiłby wyczarować tak wspaniały obraz antycznej Grecji. Dekoracje są monumentalne, a jednocześnie lekkie i harmonijne.

Gorzej jest z czasem. Przedstawienie trwa prawie cztery godziny. Jest to dla dzisiejszego widza za dużo. Inscenizator tłumaczy się, że wydatnie określił tekst i dalsze skreślenia zmniejszyłyby wartości poetyckie utworu, ale wydaje mi się, że nie zaszkodziłoby kompozycji skreślenie pewnych partii chóru Starców Argejskich, chóru Służebnic i wypowiedzi Cienia Klitajmestry. Dalej — może nie byłoby to zgodne z „intencjami" Ajschylosa — ale skreślenie postaci Pytii w III części, nic by nie zaszkodziło widowisku. Jeśli muzyka między odsłonami trzeciej części nie jest konieczna ze względu na zapełnienie czasu, potrzebnego na zmianę dekoracji — z powodzeniem można ją sobie darować. Orkiestrę i tak bardzo źle słychać, a co gorsze — gra niezbyt dobrze. A szkoda, bo na ogół ilustracja muzyczna *Tadeusza Szeligowskiego* bardzo dobra, umiejętnie wpleciona w tok i nastrój akcji. Jedynie może końcowa pieśń pojednania dźwięczy za mało radośnie. Poza tym — niedołężnie śpiewana — nie ma w sobie potęgi zamykającego sztukę akordu radości.

* * *

Przewaliło się nad ludzkością wiele stuleci, zmieniły się wielekroć granice, formy ustrojowe i formy współżycia. Zagadnienia tragedii Ajschylosa pozostały żywe i aktualne. I takimi pozostaną dopóki człowiek będzie żył na ziemi. Odwieczne ludzkie sprawy, wieczna walka człowieka z otaczającą go rzeczywistością, konflikty z własnym sumieniem są przedmiotem tych wspaniałych dzieł sprzed tysiącleci. Dziś, gdy się słucha słów padających ze sceny, wierzyć się nie chce, że zostały powiedziane przed bez mała dwu i pół tysiącem lat. Jesteśmy dumni z naszych urządzeń społecznych, ale gdy poeta opowiada nam o ustanowieniu areopagu, który w najbardziej demokratyczny sposób miał rozstrzygać spory i sądzić winnych, zawstydzenie nas ogarnia — jakże nie wiele poszliśmy dalej.

Tragedia grecka wyrosła na gruncie wierzeń religijnych. Wierzenia religijne łączą się nierozerwalnie ze sprawami sumienia. Bóg i religia są fundamentami, na których człowiek buduje swoją etykę. Podziwiać trzeba wielką wiarę Ajschylosa w wartości tkwiące w człowieku, jeśli zdamy sobie sprawę z najważniejszego bodaj momentu *„Orestei"*. Ajschylosowi nie wystarczył fakt oczyszczenia Orestesa przez boga Apollona. Orestesa trapią wyrzuty sumienia, których nic złagodzić nie zdoła. Prawdopodobnie nawet uniewinniający wyrok areopagu ateńskiego pod przewodem Pallady nie skończy konfliktu wewnętrznego Orestesa. Znamiennym jest fakt przesunięcia zagadnienia winy i kary z płaszczyzny metafizycznej do wnętrza duszy ludzkiej. Sprawy, zdawałoby się, załatwione przez sąd boski i ludzki nie kończą się w duszy człowieka. Człowiek jest i pozostanie ostatecznym sędzią swych czynów.

„Harmonijny wydźwięk trylogii Ajschylosa dokonywa się już na innej płaszczyźnie — pisze prof. Srebrny, tłumacz *„Orestei"* — *czy podobna harmonia zapanowała również w sercu Orestesa, o tym możemy wątpić. Ale czy w ogóle możliwe jest wyjście z tak w samym swoim rdzeniu tragicznego konfliktu."*

Wiemy z pewnością, że nie. I na tym polega głęboki i wzruszający tragizm duszy ludzkiej. Przypomnijmy sobie *„Dwa Teatry"* Szaniawskiego. I tam czyny ludzkie nie kończą się w świecie zewnętrznym. Konsekwencje psychologiczne ciągną się za człowiekiem i nie ma przed nimi ucieczki.

Przez ten, najważniejszy bodaj, element odpowiedzialności człowieka przed samym sobą — tragedia Ajschylosa jest głęboko ludzka, wymagająca ogromnego wysiłku od teatru, niepośledniego znawstwa antyku i doskonałych aktorów.

W teatrze Ajschylosa aktor grał słowem i gestem, twarz krył pod maską, wyrażającą tragizm lub komizm, zależnie od roli. Postaci tragedii greckich nie były skomplikowane psychologicznie. Stanowiły charaktery skrystalizowane jasno, bezpośrednio działające na widza, pełne namiętności i ognia, ale proste. Odtwarzać je też trzeba prosto i zrozumiale, wystrzegać się często wirtuozostwa w grze z myślą o prostocie wyrazu.

Reżyseria *Dyr. Szyjmana* idzie po tej linii, ale niestety, nie wszędzie mu się to udaje. Myślę, że nie bezpośrednio z jego winy. Trzeba być wielkim znawcą świata antycznego, czuć doskonale atmosferę teatru greckiego i mieć w tej dziedzinie wielkie doświadczenie. Tego wszystkiego inscenizator warszawskiej *„Orestei"* nie ma, ale wykorzystując swe wielkie doświadczenie teatralne zrobił wszystko i słusznie może uważać to widowisko za jeden ze swych największych sukcesów.

Najrówniej przeprowadził swoją rolę Orestesa — *Jan Kreczmar.* Uwypuklił słabość bohatera, miotanego między synowską miłością do matki, a obowiązkiem pomszczenia ojca. W scenie końcowej, pó uniewinnieniu go przez sąd, uzupełnił rzec można Ajschylosa, dodając sugestywnym zagraniem pesymistyczny, ale słuszny akcent nieskończonego konfliktu wewnętrznego.

Zofia Małynicz jako Klitajmestra całą rolę potraktowała nazbyt koturnowo. W zwykłej scenie powitania wędrowców jest równie patetyczna, jak w scenach prawdziwie tragicznych. Zaciążyła nad nią atmosfera tragedii. Świetna w scenie z Orestesem, nużąca jako duch, budzący Erynie. Wiele uwagi poświęciła recytacji, zapominając o namiętności, w jaką wyposażone są wszystkie postaci Ajschylosa.

Mimochodem należy podkreślić staranność w mówieniu, na co nie zawsze w Teatrze Polskim zwracano uwagę. Jedynie może *Janusz Strachocki,* jako Apollo, traktuje recytację nazbyt deklamacyjnie.

Kasandra, odtwarzana przez *Ninę Andryczównę,* jest w moim pojęciu pomyłką tej, tak dobrze się zapowiadającej przed wojną, artystki. Branka Agamemnona jest wróżką wieszczącą nieszczęście, rola ta ma akcenty niesamowite. Demoniczność Andryczówny wypadła w tej roli wampowato. Wieszczba Kasandry dzieli się wyraźnie na trzy części. W pierwszej opowiada o zbrodniach, jakie były popełnione w domu Atrydów. W drugiej przepowiada śmierć Agamemnona. W trzeciej — mówi o swej śmierci. Rola zbudowana jasno i konsekwentnie. Aż się prosi, żeby ten trójrytm zachować: 1. wprowadzenie, 2. katastrofa, 3. rezygnacja. Niestety aktorka zagubiła gdzieś logikę wewnętrzną postaci, z miejsca atakuje wysokie C tragizmu i w drugiej, najważniejszej dla niej części, brakuje oddechu. Dbałość o pokazanie smukłej kibici w nieusprawiedliwionych niczym gestach rąk i przegięciach, zagubiła sens roli tragicznej branki.

Elektra *Elżbiety Barszczewskiej* poprawna. Może jeszcze za mało namiętna, za mało mściwa, a chwilami niepotrzebnie płaczliwa. Mimo to, w porównaniu z *„Lillą Wenedą"*, widać w grze Barszczewskiej pracę nad wydobywaniem akcentów siły dramatycznej, co bardzo powiększy walory tej artystki.

Z innych większych ról — bardzo dobry był Aigistos *Kalinowskiego.* Wspaniałe epizody stworzyli: *Munclingrowa* (Piastunka) i *Butkiewicz* (Sługa Aigistosa).

Atena w wykonaniu *Pancewicz-Leszczyńskiej* czarowała pięknie mówionym tekstem.

Osobne miejsce wypadałoby poświęcić chórom, grającym wielką rolę w antycznych tragediach. Z braku miejsca muszę się ograniczyć do stwierdzenia, że były świetne. Doskonale zgrane i pięknie ubrane — tworzyły grupy, jakby żywcem przeniesione z klasycznych rzeźb. skich miał za mało tempa w momentach dramatycznych i sytuacja Jedynie może chór Starców Argejwyglądała operowo, gdy zastanawiał się co zrobić, słysząc głos mordowanego Agamemnona. Chór Erynii, w bardzo zresztą trudnych ewolucjach tanecznych, nie zawsze dawał zamierzane efekty niesamowitości, wpadając miejscami w groteskową karykaturalność. Nie umniejsza to jednak zasługi *Wandy Jeżowskiej* (układ grup), ponieważ sytuacje chóralne na ogół były bardzo szczęśliwie rozwiązane.

Poza tym chóry mówiły pięknie, a miejscami porywająco. Było to niepoślednią zasługą doskonałych aktorów — *Broniszówna, Gzylewska, Leszczyńska, Sokołowska, Drabik-Witkowska, Brydziński, Buszyński, Szupelak-Gliński, Butrym* — biorących udział w chórach.

Reasumując — widowisko udane. Zasługi i błędy podzielić należy między aktorów, — którzy dali z siebie wszystko, aby stanąć na wysokości trudnego zadania — i reżysera, który włożył maksimum dobrej woli, aby utrzymać styl przedstawienia. Pewna niejednolitość widowiska wynikła, moim zdaniem, z braku porozumienia inscenizatora z aktorami, którzy częściowo zdani byli na samych siebie, a częściowo wymknęli się spod jego uwagi. Mimo tych, drobnych w zestawieniu z całością, mankamentów, przedstawienie godne jest zobaczenia.

Poza tym widowisko, jest przykładem — co należy z uznaniem podkreślić — wzorowej pracy zespołowej. Każdy człon olbrzymiego aparatu funkcjonuje doskonale, co pozwala wierzyć, że Teatr Polski wraca do swej dawnej świetności.

„Orestejȩ" powinni zobaczyć wszyscy, bo to Teatr naprawdę piękny.

Zbigniew Pejot

Państwowy Teatr Śląski

»Taniec księżniczki«

Nową sztukę Ludwika Hieronima Morstina „Taniec księżniczki", jak każdy zresztą utwór literacki, można omawiać i oceniać z rozmaitych punktów widzenia, z których każdy odsłoni inne elementy, inną rzeczywistość komedii. Wypływający stąd pluralizm tłumaczy różność reakcji emocjonalnej u widzów od entuzjazmu prawie aż do zupełnego rozczarowania. Cóż w tym dziwnego? Widz został natychmiast po podniesieniu kurtyny zjednany sprawnością techniki pisarskiej, opartej o doskonałą znajomość teatru i wymagań sceny, śmiałością koncepcji i błyskotliwością dialogów. Zarys sylwet w pierwszym akcie, który mógł być słusznie uważany za wprowadzenie do właściwej charakterystyki i fabuły zaciekawiał i bawił. Zaintrygowany, starał się z nieważnych i lekkich dialogów wyłowić problem, o którym poinformował go autor w artykuliku umieszczonym w „Programie".

W drugim akcie owa lekkość zaczęła już widza nużyć. Zarysy sylwetek postaci nie pogłębiły się w charaktery, istotny problem w dalszym ciągu pozostał nieuchwytny. Widz staje się nieufny. Zaczyna zastanawiać się, a przede wszystkim konfrontuje odebrane wrażenia z rzeczywistością. Przeszkadza mu w tym chwytanie powiedzonek, których błyskotliwość już go nie zadowala. Jakże więc jest z tą rzeczywistością? Ależ naturalnie, deformacja rzeczywistości jest w sztuce nieunikniona, nawet w takiej, której akcja rozgrywa się obecnie w Polsce. A jednak historia ze znajomych wrócił właśnie z zagranicy, a i rzeźbiarza pewnego zna i poetę. Widz porównuje: tego listonosza, profesora Adama, tę gospodynię, dyrektora teatru i owe machinacje erotyczno-sercowe, i wreszcie ogólną atmosferę, tło, ową rzeczywistość, w której żyją postacie komedii — porównuje z rzeczywistością nie sztuki lecz życia. Zwątpienie przeradza się w zniecierpliwienie . . .

Ale to jest prawo tylko widza.

Naczelną „ideą" „Tańca księżniczki" jest obrona Sztuki, co w ujęciu Ludwika Hieronima Morstina — humanisty posiada swój specjalny wyraz. Problem reprezentowany jest u niego przez człowieka — rzec można, że autor, walcząc o swoją ideę, walczy o człowieka. Tak było w „Obronie Ksantypy" i „Penelopie", tak też została potraktowana najnowsza komedia „Taniec księżniczki". A jednak . . .

Z szeregu antynomij postaram się wydobyć jedną, moim zdaniem najistotniejszą dla twórczości Morstina, tę którą określa jego postawa humanistyczna.

Podczas gdy bohaterowie poprzednich sztuk warci są obrony, a więc sympatia odbiorcy i słuszność jest po stronie reprezentowanej przez nich idei, w „Tańcu księżniczki" sprawa ma się inaczej. Autor „Penelopy" walczy w niej o właściwe miejsce dla Sztuki w nowej rzeczywistości polskiej. Gra, że tak powiem, warta świeczki. Ale ową Sztukę uosabiają ludzie tak oderwani od rzeczywistości (nie politycznie, ale psychicznie), aspo-

Zofia Więcławówna w roli Ireny Clarc i Tadeusz Kondrat jako Dyrektor teatru w nowej sztuce Ludwika Hieronima Morstina „Taniec księżniczki".

łeczni, a nawet nierealni, że obiektywnie, nie zasługują na obronę. Poczucie humoru, do którego autor odwołuje się w trzecim akcie, nie zmienia faktu, że jego bohaterowie wypowiadają niekiedy palącą i ważną dla społeczeństwa prawdę, do której jednak nie mamy zaufania. Jest to bolesne tym bardziej, że rozumiemy intencje autora. Gdyby tym ludziom kazano żyć w epoce dekadentyzmu, na pewno nie wysunąłbym tych zastrzeżeń, ponieważ cała fabuła nabrałaby cech prawdopodobieństwa. Wówczas cyganeria artystyczna miała jeszcze rację bytu. Wydaje mi się, że „Taniec księżniczki" potwierdza tezę o potrzebie dystansu czasu w twórczości literackiej, jeśli twórczość ta pragnie sięgać poza reportaż czy pamiętnikarstwo.

Moją opinię o „Tańcu księżniczki" można zamknąć w jednym zdaniu: w sztuce tej zawiódł humanizm autora „Obrony Ksantypy". Nie udało mu się wniknąć w konkretność naszych czasów ani odtworzyć obrazu życia, w którym ciężar postawionego problemu równoważyłby się z jego miejscem na ziemi. Szczere wyczucie zjawisk społecznych nie pokrywa się jakoś z abstrakcyjnością ich przedstawienia, tak samo jak nie zgadza się z koncepcją komedii pojmowanie Sztuki jako kultu piękna. „Taniec księżniczki" nie wytrzymuje dla mnie porównania z „Obroną Ksantypy", którą uważam za jedno z największych osiągnięć naszej dramaturgii. Może analiza formalna przedstawiłaby tę komedię w innym świetle, korzystniejszym, wydobyłaby jej niewątpliwe wartości, lecz i bez niej można stwierdzić, że jest to literatura — niekiedy świetna technicznie — ale literatura. Uczciwszym mi się wydało określenie tej pozycji w dorobku literackim jej autora, jako pozycji mniej udanej i mniej ważnej.

Interpretacja aktorska łączy się z literackim ujęciem postaci, które naszkicowane lekko w pierwszym akcie wydają się zrobione doskonale. W dalszych czeka się bez skutku na wypełnienie ich wnętrza. Dlatego prawdopodobnie postacie drugoplanowe (jak np. prof. Adam), którym wystarczy sylwetka do końca, są lepsze od pierwszoplanowych. Zresztą jeśli chodzi o pana Adama, należy pamiętać, że grał go *Aleksander Zelwerowicz* w sposób mistrzowski. A więc był naturalny, zabawny, przekonywujący, stylizując z umiarem i smakiem tak łatwą do przestylizowania figurę. Ładnie nakreśloną sylwetkę Ryszarda Clarka, którego można polubić i żałować, ale dość trudno zrozumieć, oddał *Roman Hierowski. Tadeusz Łomnicki* jako jego syn Haryś czuł się w tej dziwnej roli — jak się zdaje — bardzo swobodnie, ale sukcesu aktorskiego nie odniósł. *Zofia Więcławówna* wyposażyła swoją Irenę w potrzebną dozę wdzięku, ale jej przeżycia miłosne nie przekonywały mnie zupełnie. To samo można powiedzieć o Dyrektorze teatru, którego grał — przemiły jak zawsze w tego rodzaju rolach — *Tadeusz Kondrat.* Urok drugiej młodości przeżywała pani Róża w pełnej kultury interpretacji *Janiny Jabłonowskiej.* Wyborną postać komiczną stworzyła *Helena Rozwadowska* jako Agata. *Ludwika Castori* (Krystyna), *Igor Śmiałowski* (Jerzy), *Jerzy Bielecki* (Andrzej), *Kazimierz Lewicki* (Listonosz), *Mieczysław Jasiecki* (Autor) uzupełniali obraz komedii, której reżyser *Bronisław Dąbrowski,* dał ładną oprawę i dobre tempo.

Wnętrze *Wiesława Makojnika* ozdobione oryginalnymi rzeźbami *Stanisława Marcinowa* godne podziwu.

Bogdan Butryńczuk.

Z Opery Dolnośląskiej

»TOSCA«

Tosca. Opera w 3 aktach G. Pucciniego. Libretto Illica i Giacosa, według noweli V. Sardou. Kapelmistrz: Kazimierz Bończa - Tomaszewski. Scenografia: Aleksander Jędrzejewski i Wiesław Lange. Kierownik artystyczny: Dyr. Stan. Drabik. Reżyser: Jan Popiel.

Gdy Wagner wstrząsnął zasadami formy operowej, najwięksi ówcześni kompozytorzy, zahypnotyzowani geniuszem twórcy „dramatu muzycznego", zwątpili w słuszność dróg, którymi dotychczas kroczyli i gorączkowo zaczęli szukać dróg nowych, mających doprowadzić do „udramatyzowania" opery. Nie chcieli jednak rozstać się z melodyjnością opery włoskiej i starali się znaleźć klucz dla pogodzenia tych dwu form.

W ostatnich latach XIX w. pojawia się we Włoszech grupa naturalistów, zwanych „werystami", którzy głęboko tkwiąc w konwencjonaliźmie opery włoskiej, starali się do niej nadbudować elementy „dramatu muzycznego". Dzieła Mascagniego, Leoncavalla, Giordaniego i najwybitniejszego z tej grupy Pucciniego opanowały sceny operowe całego świata.

Połączenie melodyjności opery Verdiego z „dramatem muzycznym" Wagnera! — Wydawało się, że nie może być szczęśliwszego rozwiązania. Zdawało się, że powstaje nowa, pomyślna era dla (już wtedy) przeżywającej się opery. Zapomnieli jednak weryści o tym, że libretta wagnerowskie były same w sobie dziełem sztuki, podczas gdy libretta do ich oper były „kiczami", w których morderstwa, uwiedzenia, zdrady i krwawe zemsty walczyły ze sobą o lepsze. Prędko znawcy opery ochłonęli z pierwszego entuzjazmu i odżegnali się nie tylko od „udramatyzowania" wery-

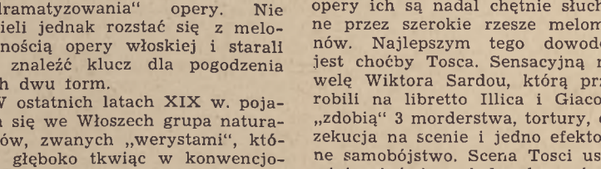

Scena egzekucji z III aktu „Tosci".

stycznej opery, ale i od jej muzyki. Musi jednak być jakaś siła wewnętrzna w muzyce Mascagniego, Leoncavalla, Pucciniego, skoro mimo całej makabryczności libretta, opery ich są nadal chętnie słuchane przez szerokie rzesze melomanów. Najlepszym tego dowodem jest choćby Tosca. Sensacyjną nowelę Wiktora Sardou, którą przerobili na libretto Illica i Giacosa, „zdobią" 3 morderstwa, tortury, egzekucja na scenie i jedno efektowne samobójstwo. Scena Tosci ustawiającej świece koło głowy świeżo zabitego nożem stołowym Scarpia, musi wywołać niesmak u najwytrwalszego poszukiwacza silnych wrażeń. A jednak muzyka Pucciniego zwycięża i pozwala zapomnieć o rozgrywających się na scenie makabrycznych nonsensach.

Inscenizator i reżyser Tosci staje przed trudnym zadaniem: jak zatuszować jaskrawość „krwawych" scen? jak nadać umownej formie długich arii i duetów realistyczną prawdziwość? Sumienny nowoczesny reżyser powinien dbać o całość estetyczną kosztem zrezygnowania z tanich dreszczyków i szarpania nerwów widowni, powinien uprawdopodobnić akcję, nie pozwolić aktorom śpiewać ich arie „frontem" do widowni w momentach największego spięcia dramatycznego z partnerem, który stoi cierpliwie o kilka kroków z tyłu.

Reżyserowi spektaklu wrocławskiego nie zawsze się to udawało. Wprawdzie ciekawie rozwiązał I akt, nadając prawdziwości scenom Tosci i Cavaradossiego, ucieczce Angelottiego (jedynie zakończenie tego aktu z tanim efektem wyprowadzenia procesji z błogosławiącym biskupem przed rampę było artystycznie chybione), złagodził scenę przesłuchania i tortur Cavaradossiego, szantażowania Tosci przez Scarpia, ale później jakby mu zabrakło oddechu, czy cierpliwości i dalsza inscenizacja potoczyła się szablonową ścieżeczką operowej „wampułki"

Równie trudne zadania, jak przed reżyserem, piętrzą się i przed wykonawcami werystycznej opery.

Występująca gościnnie *Liliana Zamorska* grą swoją utrzymała widownię w napięciu. Jest to jedna z nielicznych śpiewaczek operowych, przeżywających głęboko swą rolę. Potrafiła wydobyć wewnętrzną prawdę, unikając przykrej operowej „sztampy". Głos jej brzmiał pełnie i dźwięcznie, mimo pewnej ostrości w górnych pozycjach. Frazowała muzykalnie.

Miłą niespodziankę sprawił nam *Władysław Szeptycki.* Dramatyczna partia Cavaradossiego niezbyt odpowiada nawskroś lirycznemu materiałowi głosowemu tego tenora. Szeptycki potraktował ją lirycznie, śpiewał lekko i pięknie. Umiarem w grze pokrywał małe skrępowanie ruchów. Jest to bezwarunkowo najlepsza pozycja tego młodego artysty w tym sezonie.

Partię Scarpia śpiewał utalentowany baryton *Zbigniew Studler-Roman.* Po przebrnięciu przez zbyt nisko napisany dla jego rodzaju głosu pierwszy akt, śpiewał w drugim akcie swobodnie. Uważam jednak obsadzenie tego młodego lirycznego barytona w partii Scarpia za niebezpieczny eksperyment, z którego wyszedł obronną ręką tylko dzięki swojej muzykalności. *Jan Popiel* w postać Angelottiego włożył dużo prawdy.

Wacław Wronecki śpiewał bez zarzutu epizodyczną partię zachrystiana i utrzymał groteskową linię gry, w samej koncepcji reżyserskiej jednak za jaskrawą i przerysowaną.

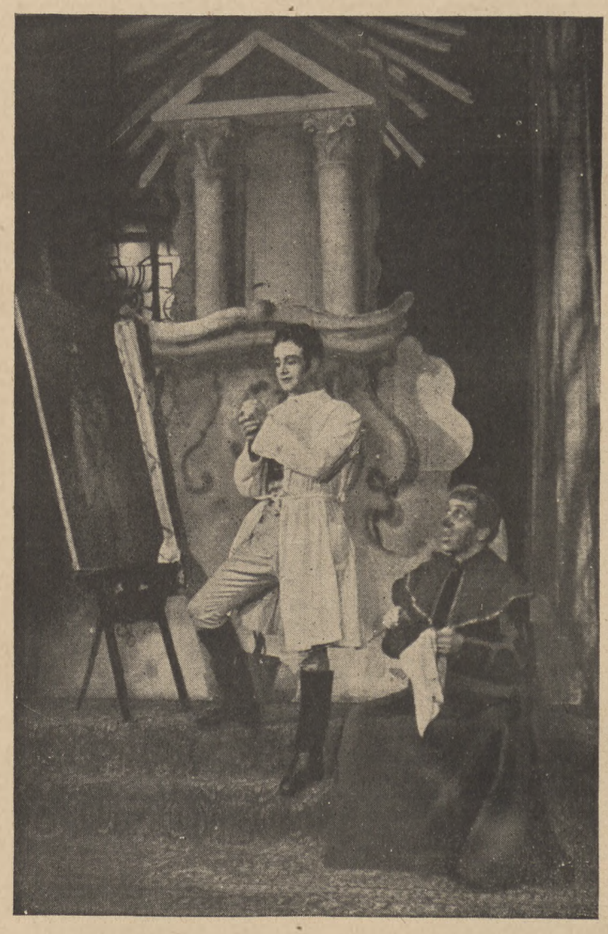

„Tosca" — akt I.

Cavaradossi (Wł. Szeptycki) i Zachrystian (W. Wronecki).

To samo można by powiedzieć o rutynowanym, charakterystycznym śpiewaku *Alfredzie Czopku* w roli Spoletty. Głos pastuszka *(Czesława Winnicka)* w II akcie ginął w głębiach kulis.

Kazimierz Bończa - Tomaszewski prowadził operę w pięknym stylu, nie potrafił jednak opanować orkiestry, która, szczególnie w III akcie, wyraźnie się „rozłaziła". Poszczególne instrumenty kilkakrotnie „wchodziły" za prędko, wiolonczele grały nieczysto. W I akcie organy nie stroiły z orkiestrą o drobny ułamek tonu. Czy nie przydało by się przed premierą trochę więcej prób z orkiestrą?

Aleksander Jędrzejewski i *Wiesław Lang* dali operze efektowną i barwną oprawę sceniczną. Tylko niewytłumaczona artystycznie figura Madonny w kaplicy Św. Andrzeja i brzydka kanapa w komnacie Skarpia, stojąca na pierwszym planie i zasłaniająca sceny rozgrywające się przy stoliku z przyborami do pisania, niepotrzebnie psuły ciekawie skomponowane wnętrza I i II aktu. Dekoracja do III aktu z blankami murów zamku świętego Anioła i z rzuconym światłami na „horyzont" widokiem na Rzym, pełna przestrzeni i dobrze rozwiązana w perspektywie.

Wojciech Dzieduszycki.

Wśród czasopism

Od miesiąca mamy nowe pismo literackie. Cechują je duże ambicje, tendencje w kierunku utrzymania zdecydowanie literacko-artystycznego charakteru, dążność do skupienia najwybitniejszych i najciekawszych piór, chęć stania się pismem możliwie najbardziej powszechnym. Są to zapowiadane „NOWINY LITERACKIE", wydawnictwo Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza", będącej instytucją wydawniczą PPS. Powszechnie mówi się o chęci stworzenia konkurencji „Odrodzeniu". Jest to określenie genezy pisma w sposób negatywny i trochę plotkarski. Rzecz należy brać od innej strony, od strony pozytywnej. Pismo to powstaje chyba nie z chęci negacji i przeciwstawiania się, lecz raczej z poczucia potrzeby uzupełnienia tego, co dotychczas „Odrodzenie" reprezentowało. „Wiedza" przypuszczalnie nie ma interesu w podejmowaniu zasadniczo deficytowej rywalizacji z „Czytelnikiem" w dziedzinie czasopiśmiennictwa literackiego. Majątku na tym na pewno nie zrobi. Chodziło chyba tylko o probę nowego typu pisma przy wykorzystaniu pewnych „konserwatywnych" nawyków przez nawiązanie pod pewnymi względami do „Wiadomości Literackich". „Wiadomości" miały wyraźne lewicowe oblicze przy bardzo szerokim wachlarzu współpracowników. Inna rzecz, że ta lewicowość była bardzo mieszczańskiego, żeby nie powiedzieć ostrzej — burżuazyjnego pokroju, obliczano ją więcej na efekt niż pogłębiano ideowo. Miały poza tym swoją pozycję. Czytane były przez wszystkich. Przez jednych z sympatii, przez drugich z konieczności i potrzeby bycia „au courant". Może więc nawiązywanie do tamtej tradycji pomoc, może też nie pomoc. Sama tradycja jest w każdym razie rzeczą drugorzędną. Najważniejsze będzie to, co nowe pismo da świeżego i własnego.

„Nowiny Literackie" wystąpiły z wielkim aparatem reklamowo-propagandowym, z tytułem i układem typograficznym, analogicznym do „Wiadomości". Po znanych dotychczas dwoch numerach trudno coś więcej powiedzieć. Pismo jest sympatyczne, urozmaicone, nie ma w nim napuszonosci i nie ma poczucia własnej, prawdziwej czy urojonej wielkości. Można powiedzieć, że jest przystępne. Stroni od drugich i nieza chęcających do czytania artykułów, współpracowników ma na poziomie, choć nie chełpi się jakimiś specjalnie wielkimi nazwiskami, jakby nie zamierzało epatować czytelników „gwiazdami". Tak niegdyś postępowało „Prosto z Mostu" i przez długi czas dobrze na tym wychodziło, zdobywając ponadto zasługę wprowadzenia do literatury kilku nowych i dziś już bardzo znanych pisarzy. Jeśli „Nowiny" (abstrahując od przykładu) zamierzają postępować podobnie, rzecz to godna uznania. Do nieznanych piór czytelnicy przyzwyczają się szybko, jeśli są tylko dobre. Nawet lubują się w takich nowościach. Ale od tej strony można obserwować pismo dopiero na przestrzeni pewnego dłuższego czasu. Redakcja w każdym razie zrobiła jedno mądre pociągnięcie: nie ogłosiła w pierwszym numerze żadnego programu. Taki program i tak nic nie mówi, i tak nie obowiązuje. Niech go czytelnicy sami ze stron pisma odczytają i bez pomocy redakcji ocenią. Zamiast programu natomiast ogłoszono na czele pierwszego numeru „Zwierzenia" -Zofii Nałkowskiej. Zwierzenia te są interesujące przede wszystkim przez wzgląd na ich autorkę, mówiącą o nowym i dawnym stylu, nie przywiązującą wagi do uznanych i przyjętych określeń literackich, patrzącą życzliwie na deformacje, jakie w te określenia i pojęcia wnosi twórczość najmłodszego pokolenia pisarzy, zapowiadającą, że literatura współczesna nie zdoła „wyrazić oblicza" przepływających przez nas czasów, że jest na to za wcześnie. Pewnych programowych założeń można by się dopatrzeć w drugim z kolei artykule „Styl demokratycznej kultury". Autor tego artykułu, Stanisław Ossowski, to ceniony socjolog, zajmujący się m. in. specjalnie zagadnieniami socjologii sztuki i znany z prac z tej dziedziny już przed wojną. Artykuł jego jest zbyt fragmentaryczny, stanowi zresztą jeden z fragmentów książki, ale daje wiele cennych spostrzeżeń i postulatów. Oto kilka sformułowań: „Przy budowaniu programów demokratycznej organizacji życia zbiorowego należy się wystrzegać ducha wyłączności; należy się wystrzegać przekonania, że wzór propagowany przez nas jest najlepszy", winien być wzorem jedynym; nawet najlepszy wzór traci bowiem wiele ze swej wartości, gdy przestaje być przedmiotem wyboru". Dalej postuluje Ossowski umiar w centralizacji życia zbiorowego, staje w obronie jednostek i grup przed tendencjami niwelującymi władz centralnych, domagając się wszechstronnej aktywizacji społeczeństwa. W rozważaniach na temat integralności systemu demokratycznego stwierdza, że „przy próbach pogodzenia demokracji z jakąś formą ucisku musi się w życiu społecznym rozpoczynać zakłamanie", że „nie można wychowywać ludzi na rzetelnych obywateli, kształcąc ich równocześnie w tolerowaniu ucisku względem jakichś „obywateli drugiej klasy". W ostatniej części artykułu przestrzega przed stosowaniem taktyki, która wywołuje ujemne skutki wychowawcze i obliczona na doraźne efekty polityczne o skutkach tych zapomina. Występuje więc w obronie kultury przed propagandą, w obronie roli społecznej artysty, literata, uczonego, wychowawcy, któremu mogą być narzucane role polityczne, obarczone taktycznym oportunizmem i fałszem obliczonym na krótką metę. W pierwszym numerze na wyróżnienie zasługują jeszcze następujące pozycje: *Marii Dąbrowskiej* piękny artykuł o Wrocławiu i Zeszytach Wrocławskich, *Stanisława Helsztyńskiego* o Pułaskim, liczne wypowiedzi na temat plastyki i Filharmonii Narodowej, projektowanej w Warszawie. Drugi numer jest już słabszy. List z Ameryki Alicji Iwańskiej napisany jest inteligentnie, ale nie zawiera nic ważnego i specjalnie godnego uwagi. Znaczenie informacyjne ma artykuł Leopolda Lewina o poetach komuny paryskiej, dobra jest proza Truchanowskiego („Wielka gra"), dobry reportaż Wojny z Podhala i artykuł Toeplitza o filmie amerykańskim i zachodnio-europejskim. Poza tym zbyt wiele nieważnych drobiazgów. W obydwu numerach poezję reprezentują: Paweł Herz, Jerzy Zagórski, Stanisław Piętak, Włodz. Słobodnik, a Jan Huszcza przypomina nieżyjącego młodego poetę wileńskiego Leona Szredera. Jest i „kronika tygodniowa". Prowadzi ją Julian Hoffeld, przewodniczący klubu poselskiego PPS., nie tak zjadliwie, napastliwie i dowcipnie jak niegdyś Słonimski, ale kulturalnie i z umiarem. To może nawet lepiej dla pisma.

„Odrodzenie" natomiast wyszło z warszawskiego impasu doskonałym, bogatym, żywym numerem, poświęconym *Karolowi Szymanowskiemu*. Myślę, że konkretną i niezaprzeczalną korzyścią tego numeru jest to, że zbliża on przeciętnemu laikowi muzycznemu (a takich zwłaszcza jeśli chodzi o stosunek do muzyki Szymanowskiego mamy bardzo wielu wśród sfer kulturalnych) postać i twórczość wielkiego kompozytora. Ten numer „Odrodzenia" wart jest specjalnej pochwały. W numerze tym z innych już względów warto zastanowić się nad dwoma artykułami: *Marii Dąbrowskiej „Kroniczka elegijna"* i *Juliana Przybosia „Nienapisany wiersz"*. To porównanie ukaże nam całą różnicę, jaka leży pomiędzy wielkim pisarzem a ...mniejszym. To wtrącanie przez Przybosia swoich trzech groszy we wszystkie kwestie i zabieranie głosu w tonie autorytatywnym na wszystkie tematy zaczyna już być śmieszne. Innych nawet złości. Ale bądźmy łagodni i miejmy poczucie humoru. (hi)

Śp. Jan Guttner

ur. 1883 — zm. 1947

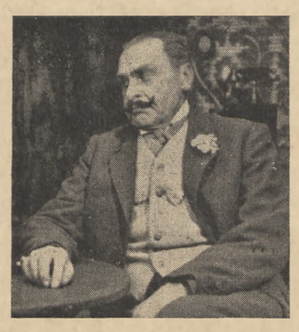

Z zespołów aktorów Teatru Państwowego im. St. Wyspiańskiego w Katowicach odył Jan Guttner. Zmarł po dłuższej chorobie w 64 roku życia, przy czym choroba ta dwukrotnie przerywała jego występy; po raz pierwszy, gdy grał rolę Kreona w „Antygonie" w październiku ub. r., po raz drugi w grudniu wystąpił ze świetną kreacją Lipowskiego w „Szczęściu Frania" Perzyńskiego, które stało się sukcesem katowickiej Małej Sceny, przy czym Jan Guttner zwłaszcza przez akt trzeci miał w tym sukcesie poważny udział.

W pięknym słowie pożegnalnym nad mogiłą nazwał L. H. Morstin Guttnera tułaczem sceny polskiej. Był nim istotnie, bo pracował na scenie z górą czterdzieści lat i znały go wszystkie wybitniejsze teatry w kraju. Znały go jako aktora sumiennego, obdarzonego dużym i sugestywnym talentem, reprezentującego dobrze starą, realistyczną szkołę aktorstwa polskiego.

Przegląd ról, które w czasie swej długiej kariery scenicznej odtwarzał Jan Guttner, daje najlepsze pojęcie o tym, że był aktorem nie na przeciętną miarę. Grał Cześnika w „Zemście", Batorego w „Stefanie Batorym" Brończyka, Zygmunta Starego w „Królewskim jedynaku" Rydla, Makdufa w „Makbecie", Wojewodę w „Mazepie", Dauma w „Pannie Maliczewskiej", Horodniczego w „Rewizorze", Szajloka w „Kupcu weneckim" i wiele innych jeszcze ról trudnych, odpowiedzialnych i wymagających od aktora dużego wysiłku artystycznego.

Placówka katowicka, na którą przybył jesienią 1946 r., stanowiła zbyt ciężką próbę dla jego sił. Podniósłszy się z pierwszej choroby, która spowodowała jego wycofanie się z „Antygony", przy czym już na premierze był ciężko chory, nie dając tego niczym do poznania w swej wielkiej roli, uległ jej nawrotowi, gdy przeziębił się na jednym z wyjazdów na prowincję. Związany najdłużej, bo przez lat szesnaście ze sceną lwowską, ostatnie swe siły oddał pracy artystycznej na Śląsku i na tej ziemi spoczął na zawsze.

Zwłoki śp. Jana Guttnera złożone zostały na cmentarzu w Katowicach przy ul. Francuskiej w dniu 2 bm. W pogrzebie wziął udział cały niemal zespół Teatru im. Wyspiańskiego. Jeśli nie było na tej smutnej uroczystości kolegów z Opery Śląskiej, przedstawicieli innych związków artystytcznych poza Zw. Literatów, to możemy to nazwać tylko niekoleżeństwem. Ale jeśli zlekceważyli ten pogrzeb wybitnego aktora, który umarł niemal na posterunku, reprezentanci władz kultury i sztuki, to możemy określić to epitetem bardziej dosadnym, który jednak w druku nie zbyt ładnie wygląda. (ki)

Życie muzyczne Berlina

Trudno sobie wyobrazić Berlin bez muzyki, jednak obraz zewnętrzny tego miasta zmienił się podczas wojny nie do poznania. Dawniej słuchano koncertow na Potsdamer Platz — dziś jest to dzielnica opuszczona, ktorej kazdy skrzętnie unika wieczorem. Cały kompleks budynkow filharmonii lezy w gruzach. Były to budynki, gdzie odnosili triumfy mistrzowie pałeczki — *Hans von Buelow, Nikisch, Furtwaengler* i wielu innych, słynnych dyrygentów zagranicznych. Zniszczone są też inne sale Wyzszych Szkoł Muzycznych im. Beetnovena, Becnsteina, Bacha, w ktorych słuchacze spędzili wiele przyjemnych chwil. Obecnie koncerty odbywają się w salach, ktorych dawniej nie uzywano, bo były nieakustyczne, zimne i nieprzytulne. Ale dzis z powodu braku innych, koncerty odbywają się własnie w tych, dawniej pogardzanych salach, jakkolwiek wszystkie ich wady pozostały do dzis. Nie ma mowy o organizacji zycia muzycznego dla całego Berlina. To „miasto-olbrzym" składa się dziś z przedmieść i peryferii, otaczających zniszczone centrum. Każde z tych przedmieść stwarza swoje własne zycie muzyczne i to jest powodem, ze przedmiescia Charlottenburg, Schoeneberg, Neukoelln i inne stworzyły swój własny poziom muzyczny, odbiegający bardzo daleko od dawnego najwyzszego poziomu artystyczno - muzycznego Berlina. Rozpoczęła się prawdziwa inflacja koncertowa, słuchacze stali się podejrzliwi, a krytycy musieli zaostrzyc swoje pióra, ciąc podniesc poziom koncertow.

Obecnie, tak jak i dawniej, berlińscy filharmonicy tworzą trzon muzycznego zycia w tym miescie. 2 stycznia otrzymali licencję amerykańską. Kierownik artystyczny orkiestry berlińskiej, *Sergiusz Celibidacho*, licencję tę otrzymał jeszcze w roku 1945. Jemu zawdzięcza filharmonia berlińska swój obecny wysoki poziom artystyczny. Ten młody człowiek, Rumun z pochodzenia, zyskał sobie dużą sympatię zarowno słuchaczy jak i wykonawcow. Celibidache zdaje sobie sprawę z odpowiedzialnosci i pracuje z orkiestrą bardzo sumiennie, czy jednak pozostanie przy swoim pulpicie dyrygenckim jest rzeczą niepewną, ponieważ juz wysuwa się — stojący jeszcze chwilowo w cieniu — sławny Furtwaengler, którego komisja denazyfikacyjna uwolniła od wszelkich oskarzen.

Jako dyrygenci pracują również: *Artur Kotter* w Państwowej Operze, muzyk bardzo zdolny i pracowity, *Fritz Guhl, Leo Spiess* i *Ernst Senff*. Najbardziej wartosciową siłą w Operze Państwowej jest dyrygent i kierownik orkiestry państwowej *Johann Schueler*. Dyrygentem choru jest *Karol Schmidt*, który stworzył chór koncertowy i niedawno dyrygował *„Missa Solemnis"* Beethovena.

Z okazji uroczystości szubertowskiej urządzono koncert, orkiestrą dyrygował *Hans Knappertsbusch*, który został na ten koncert specjalnie zaangażowany. Ta sama orkiestra państwowa brzmiała zupełnie inaczej, muzycy dali z siebie wszystko, na co ich było stać, słuchacze byli oczarowani i w niemilknących oklaskach dali wyraz swemu zachwytowi. Ten występ gościnny jeszcze bardziej podkreślił jak ważną rolę spełnia dyrygent, a berlińczycy powoli przypominają sobie, jakie wymagania należy stawiać w stosunku do orkiestry. Bardzo poważną trudnością są ciężkie warunki komunikacyjne, często próby nie dochodzą do skutku, a zawsze odbywają się przy niepełnym składzie orkiestry. *Musica sacra* jest pod skrupulatnym kierownictwem doświadczonego dyrygenta zespołów wokalnych *Karola Forstera*, prowadzącego chór *Katedry świętej Jadwigi*. *Chór Akademii Śpiewu*, prowadzony przez staruszka *Georga Schumanna* oraz — niegdyś sławny chór *Bruno Kittela*, usunęły się w cień, natomiast utworzył się nowy chór filharmonii pod nazwą *„Berliński Chór Oratorium"*, którym kieruje *Theodor Jacobi*.

Modną muzyką opiekują się: Biblioteka Muzyczna w Charlottenburgu, „Urząd dla Sztuk Pięknych" w Zehlendorff, i od jakiegoś czasu komisja muzyczna przy „Związku Kultury dla Odbudowy Demokratycznych Niemiec". Na pierwszy plan wysunęli się czterej berlińscy kompozytorzy: *Paul Hoeffer* i *Heinz Thiessen*, obaj są twórcami dzieł muzycznych modnych coprawda, ale o kierunku umiarkowanym, uczeń Hindemitha — *Zygfryd Borris* i *Konrad Noetel*. Hindemithowi poświęcono szereg koncertów, wykonano szereg jego utworów, jak: *„Mateusz — malarz"* oraz sonatę na puzon z roku 1941, uwerturę *„Nowości dnia"*, *„Życie Marii"*, nowy koncert fortepianowy zatytułowany *„Cztery temperamenty"* i dużej miary dzieło fortepianowe *„Ludus Tonalis"*.

Z zagranicy przychodzą ciągle nowe kompozycje, które wzbogacają życie muzyczne Berlina. Utworzono obecnie wypożyczalnię nut w szczątkach murów dawnej Biblioteki Państwowej" i można z niej korzystać bez żadnych ograniczeń. Nazwiska *Milhaud, Ravel, Roussel*, stale są widoczne na plakatach koncertowych. W strefie okupacyjnej anglo-amerykańskiej wykonuje się dzieła kompozytorów: *Coplanda, Nabokowa, John Bittera, Virgil Thomsona, Alan Busha*, i jednego z najbardziej dzisiaj znanych, *Michaela Tippetta*. W strefie okupacyjnej radzieckiej największy sukces odniosły symfonie *Szostakowicza* (Nr 5, 6 i 7). Radio berlińskie, znajdujące się w brytyjskiej dzielnicy pod zarządem radzieckim, podjęło się rozpowszechnienia utworów symfonicznych tego sławnego muzyka, na koncertach publicznych.

Stefania Tekel.

Ukraińcy, Litwini i Łotysze w Niemczech

PRASA UKRAIŃSKA

„Ukraińska Trybuna" z dnia 30 stycznia w artykule „Kierownicza partia czy koalicyjna kasza" pisze, że inna gazeta „Czas" wysunęła następujące rozwiązanie mające zakończyć rozłam wśród emigracji ukraińskiej: 1) Współpraca różniących się programowo partyj politycznych w wspólnym politycznym centrze. 2) Wspólna centrala tworzy się na zasadzie proporcjonalności. Każda partia wysyła do centrali przedstawicielstwo proporcjonalnie do liczebności i wpływu w narodzie. 3) Przewodnictwo koalicji obejmuje najsilniejsza partia.

*

Pismo ukraińskie *„Christiańskij Szlach"*, Mittenwald (w nr. z 8. 12. 1946) pisze, że najodpowiedniejszym terenem dla emigracji ukraińskiej byłaby Kanada ze względu na wielką ilość współrodaków. Gdyby wszystkich wysiedleńców ukraińskich przyjęto do Kanady stanowiliby oni tam trzecią co do liczebności grupę narodowościową po Anglikach i Francuzach. Zachowanie się części Ukraińców kandyjskich ogromnie zmniejsza szanse emigracji wysiedleńców.

*

Brytyjskie ministerstwo spraw zagranicznych zezwoliło na utworzenie w brytyjskiej strefie okupacyjnej Niemiec, Ukraińskiego Komitetu, mającego charakter doradczy przy władzach wojskowych, oraz wykonawczy w sprawie opieki nad Ukraińcami. Działalność Komitetu musi być apolityczna i nie wykraczać poza granice strefy. Jednocześnie wydano pozwolenie na wydawanie ukraińskiego pisma.

PRASA LITEWSKA

Prasa litewska cytuje za „Star and Stripes" wiele wiadomości o wydaniu zakazu urządzania weryfikacji przez UNRRA, o utworzeniu setnej kompanii wartowniczej, o tym, że sławnego więzienia przestępców wojennych przy sądzie w Norymberdze pilnują bałtyccy wartownicy, o strajku studentów we Frankfurcie oraz o zatrudnieniu D. P. w amerykańskiej strefie. Według tych danych zatrudnionych jest 100 tys. wysiedleńców, w tym 38 tys. w obozach, 34 tys. w kompaniach wartowniczych i robotniczych, 12 tys. pracuje bezpośrednio dla armii, reszta pracuje w różnych zawodach pod opieką UNRRA. W obozach jest 140 tys. mężczyzn, 105 tys. kobiet, które przeważnie są niezdolne do pracy, gdyż mają na swej opiece 85 tys. dzieci w wieku do lat 14.

*

Wszyscy b. jeńcy jugosłowiańscy w brytyjskiej strefie okupacyjnej Niemiec w dniu 7 lutego br. otrzymali prawa D. P. i niemieckie karty żywnościowe, dzięki którym będą mogli się utrzymać z własnej pracy.

(„Musu Kelias")

PRASA ŁOTEWSKA

Pismo *„Tevzeme"* nawołuje do dokładnej rejestracji i prowadzenia statystyki zatrudnienia, po pierwsze, aby móc wykazać cyfrowo, że uchodźcy nie unikają pracy, a przeciwnie w większości pracują, a po drugie, aby posiadać materiał statystyczny o warunkach i możliwościach zatrudnienia. Rejestracja warsztatów i spółdzielni wytwórczych ułatwi obroty towarowe, rejestracja kursów i ich absolwentów ułatwi ich celowe rozmieszczenie. Cały ten materiał nie tylko ułatwi koordynację pracy w dobie obecnej, lecz będzie również dowodem chęci do pracy wysiedleńców.

*

„Süddeutsche Juristen - Zeitung" omawia ciekawą sprawę rozpatrywaną przez sąd niemiecki w Stuttgarcie. Pewne małżeństwo łotewskie chciało przez sąd uzyskać rozwód. Ustawodawstwo przewiduje, że przekracza to kompetencje sądu niemieckiego, o ile zainteresowane strony posiadają obywatelstwo jednego z państw Narodów Zjednoczonych. A więc jeżeli uważać ich za obywateli sowieckich, sąd nie ma prawa dać rozwodu, jeżeli zaś uważać ich za obywateli republiki łotewskiej nie należącej do ONZ, sąd niemiecki jest w prawie udzielić rozwodu. W ten sposób wydział spraw cywilnych Landgerichtu stanął wobec konieczności wyjaśnienia zawiłych problemów międzynarodowych. Sąd ten znalazłszy jakieś powody, uchylił się od powzięcia decyzji i przekazał sprawę do wyższej instancji niemieckiego sądownictwa. Ta zaś również uchyliła się od odpowiedzialności stwierdzając, że Łotysze mogą być uważani ewentualnie za bezpaństwowców, a w tym wypadku sąd niemiecki może rozpatrywać sprawę jedynie za zgodą władz amerykańskich. Papierki chodzą po urzędach, a małżeństwo wciąż nie może uzyskać rozwodu. W komentarzu do sprawozdania o niniejszej sprawie niemiecki profesor prawa Grewe roztrząsa obszernie wszystkie argumenty za i przeciw i stwierdza, że sąd niemiecki jest w prawie udzielenia rozwodu. (wel)

Próba prozatorskich talentów

Koło Miłośników Języka Polskiego i Literatury we Wrocławiu, podnosi słuszną inicjatywę, pozwalając się wypowiadać na swoich „czwartkach", młodzieży o zainteresowaniach i ambicjach literackich. Że czasem impreza taka tchnie nieporadnością, nie jest to powodem do odmawiania na przyszłość głosu wszystkim tym, którzy borykając się pisaniem, pragną by ich słuchano i oceniano.

W praktyce takiej napotka się na niejeden talent, dlatego żaden trud w tym kierunku niech nie będzie za duży.

Na jednym z ostatnich zebrań, początkujący prozaicy wrocławscy zaprezentowali swój literacki dorobek. Tytus Karpowicz czytał opowiadanie „Pies Chrystusowy", Jerzy Cieślikowski, fragment z powieści „Różowe Migdały" pt. „Druga Ucieczka Michała", Romuald Cabaj „Scherzo — wybuch wojny" i Hubert Drapella, opowiadanie „Nieprawda".

Na osobne potraktowanie zasługuje Jerzy Cieślikowski. Nie wdając się w jakąkolwiek analizę odczytanego przez niego wyjątku z powieści „Różowe Migdały", która to ocena z racji szczupłego materiału, z konieczności musiała by być niepełna, więc i bez szczególnego znaczenia, należy stwierdzić, że J. Cieślikowski jest zorientowany, co to znaczy pisać prozą, że posiada własny wyraz artystyczny i ideologiczny. J. Cieślikowski jest na dobrej drodze! Reszta nazwisk, a więc: Tytus Karpowicz (rażąco i wybitnie), Romuald Cabaj i Hubert Drapella nie dało powodów do szerszych komentarzy. Są to raczej eksperymenty, w pewnych wypadkach nie wróżące nic dobrego. Jedynie młody wiek R. Cabaja i H. Drapelli skłaniają do optymizmu.

Ogólny i kardynalny błąd w trzech ostatnich wypadkach stanowi błędne zrozumienie prozaickiej sztuki w ogóle, pogrążenie w zbędnej i sztucznie spiętrzonej metaforze oraz gmatwanina myślowa (czy poetyzowanie?). Pisarza musi cechować dyscyplina i odpowiedzialność za swoją pracę, albowiem jej ważność nigdy nie była tak wielka, jak w naszym czasie. Ta prosta moralność niestety bardzo obowiązuje (młodych też). Wypróbowaną i zresztą jedyną drogą do osiągnięcia wprawy i tzw. kultury pisarskiej, jest podpatrywanie (czyli czytanie) prawdziwych i uznanych pisarzy. Trzeba zaczynać od elementów — na to nie ma rady. Można twierdzić, że niektórzy z omawianych tu debiutantów, są na innej drodze. I smutniejsze, bo, jak np. autor „Psa Chrystusowego", bezpowrotnie zaawansowani w niepoprawności, że powiedzenie: „jeszcze nie jest za późno" traci swoją przysłowiową wartość.

Koło Miłośników Języka Polskiego i Literatury we Wrocławiu, jak mówi na zakończenie prowadzący z urzędu słowo wiążące T. Lutogniewski, chętnie poświęci jeszcze niejeden wieczór czwartkowy debiutującej generacji literackiej. Najmłodsi prozaicy wrocławscy — za wyjątkiem J. Cieślikowskiego — na razie zawiedli. Nie wolno jednak przestać wierzyć w ich ambicje i młody wiek. (Jap.)

W dziesiątą rocznicę śmierci

Karola Szymanowskiego

W dziesiątą rocznicę śmierci Karola Szymanowskiego odbyły się na terenie Katowic dwie imprezy koncertowe w rozgłośni Polskiego Radia i Filharmonii. Koncert radiowy składał się z Uwertury Koncertowej, Koncertu skrzypcowego oraz Symfonii Concertante. Uwertura Koncertowa należy niewątpliwie do wstępującego okresu twórczości kompozytora. Widać tu jeszcze duży wpływ poematów symfonicznych Ryszarda Straussa i instrumentacji oraz opracowania motywicznego okresu Młodej Polski. Niemniej utwór ten zapowiada już przyszłe kształtowanie się postaci twórczej Szymanowskiego. Koncert skrzypcowy (op. 37) jest stosunkowo rzadko grany, ze względu na niezmiernie trudną partię orkiestralną. Szymanowski traktuje instrument solowy jako równorzędny czynnik z orkiestrą — niekiedy nawet odnosi się wrażenie pewnej nadrzędności orkiestralnej. Stąd punkt ciężkości partii skrzypcowej leży nie tyle w technice, ile w wyrazie muzycznym.

Irena Dubiska jest skrzypaczką pierwszorzędną — nie zawsze jednak stojącą pod względem tonu na odpowiednim poziomie. Tym razem jednak wyczuwało się wyraźnie, że Szymanowski leży całkowicie w jej możliwościach muzycznych — jest niejako odpowiednikiem jej ustroju wewnętrznego. Na szczególną uwagę zasługują subtelne, pełne wewnętrznego nurtu piana. Symfonia Concertante (symfonia koncertująca) jest jak sama nazwa już wskazuje utworem orkiestralnym, w którym jedną z dominujących partii dał Szymanowski fortepianowi. Nie jest to jednak koncert fortepianowy, bowiem brak jest w nim typowych zwrotów solistycznych i niedwuznacznie pierwszoplanowego traktowania tego instrumentu — niemniej ma on poważną pozycję w całości utworu.

Jan Ekier jest dobrym pianistą i doskonałym muzykiem. Nie wydaje mi się jednak, żeby jego rodzaj techniki był odpowiednim do zastosowania w Szymanowskim. Jest on zbyt matowy, zbyt szkicowy. Szymanowski nie był w całym tego słowa znaczeniu impresjonistą. Pod pewnym względem należało by tutaj zastosować nieco więcej ostrości konturów.

Orkiestrą dyrygował *Witold Kałka-Rowicki*. Dyrygent ten wydobył z orkiestry wszystko, co można było osiągnąć przy tak niewielkiej liczbie prób. Orkiestra radiowa udowodniła i tym razem, że jest najlepszym zespołem symfonicznym obecnie w Polsce.

Ryszard Bukowski.

Z teki karykatur śląskich

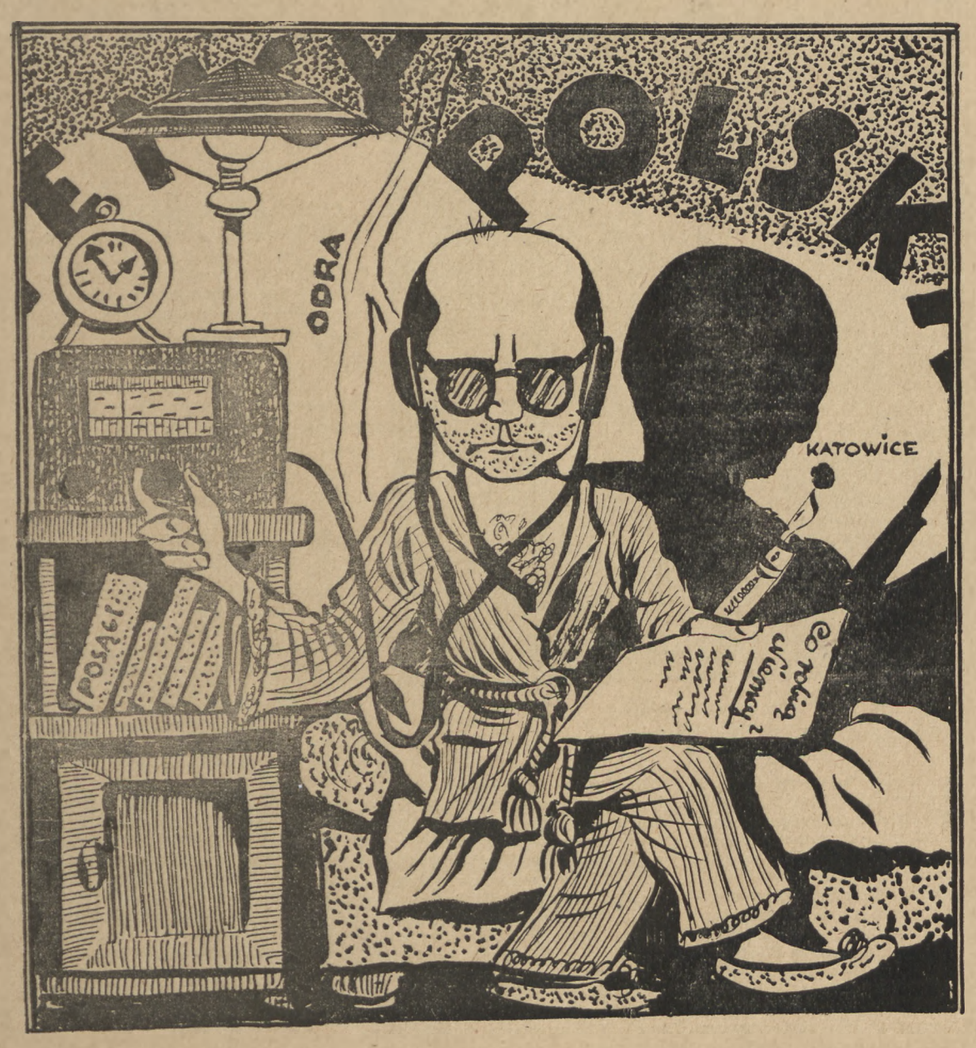

Wilhelm Szewczyk

Tydzień Wrocławia

23. III. — 30. III.

ŻYCIE MUZYCZNE

23. III. X Koncert Symfoniczny Filharmonii Wrocławskiej pod dyrekcją Artura Malawskiego z udziałem Krystyny Malawskiej (fortepian). W programie: uwertura Beethovena „Egmont", poemat symfoniczny Noskowskiego „Step", „Kaprys Hiszpański" Rymskij - Korsakowa oraz koncert fortepianowy Liszta Es-dur.

ŻYCIE LITERACKIE

27. III. W ramach „czwartków literackich" Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego odbył się wieczór dyskusyjny na temat sztuki Jerzego Szaniawskiego „Dwa Teatry". Dyskusję zagaił prof. dr Stefan Kuczyński, kierownik literacki Teatru Miejskiego we Wrocławiu.

28. III. odbyło się zebranie organizacyjne członków Związku Zawodowego Literatów Polskich, mieszkających na terenie Dolnego Śląska.

ŻYCIE NAUKOWE

24. III. VII posiedzenie naukowe Wrocławskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Chemicznego z ref. prof. dr. E. Suchardy.

28. III. XXXI posiedzenie naukowe Wrocławskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Matematycznego z referatami mgr. mgr. S. Hartmana i J. Perkala. Ponadto dokonano wyboru kandydatów Oddziału Wrocławskiego do nagród Polskiego Towarzystwa Matematycznego im. S. Banacha, S. Mazurkiewicza i S. Zaremby.

INNE WYDARZENIA

29. — 30. III. W sali teatru OKZZ. odbył się wojewódzki konkurs teatralny zespołów świetlicowych organizowany przez Wydz. Kulturalno - Oświatowy Okręgowej Komisji Związków Zawodowych. W konkursie brały udział zespoły wyłonione z eliminacyj powiatowych. Wrocław reprezentowany był przez świetlicę Pafawagu, uzyskując na konkursie pierwsze miejsce. Będzie zatem reprezentował Dolny Śląsk na konkursie ogólnopolskim w Warszawie.

Kto się zlituje

Kto się zlituje nad językiem polskim? Który z językoznawców? Nowe pojęcia i zjawiska polityczne narzucają konieczność przyjęcia nowych terminów. I tak piszemy: d e n a c y f i k a c j a, d e n a z i f i k a c j a, nawet z francuska d e n a s y f i k a c j a. My w „Odrze" używamy wyrazu d e n a z y f i k a c j a jako najbardziej odpowiadającego naszemu poczuciu językowemu. Ale nie wiemy czy słusznie.

Zlitujcie się językoznawcy, zabierzcie głos, zróbcie porządek w tym słownictwie. Niech wie czytelnik gazet polskich, że ich redaktorzy i publicyści znają język polski.

wisz.

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49. Tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 240 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 30113

Dwie reprezentacje

Z okazji Międzynarodowego Tygodnia Solidarności Więźniów Politycznych wystąpił z serią odczytów na Śląsku Gustaw Morcinek, który spędził za drutami obozów koncentracyjnych ponad pięć i pół lat. Równocześnie jednak Związek Więźniów zdobył się i na drugie wystąpienie o charakterze do pewnego stopnia literackim. Była nim audycja radiowa w dniu 29. III. o godzinie 15.40 pt. „Echa Oświęcimia", fatalnie wykonana i jeszcze gorzej opracowana. Wyszła ona spod pióra pewnej „literatki", która pod małżeńskim nazwiskiem zasilała płodami swojej anemicznej muzy „Ilustrowany Kurier Polski", wydawany w czasie okupacji przez Propagandaamt i Zeitungsverlag w Krakowie. Podobno nie wiedziała, że tego Polakowi robić nie wolno. Ale za to teraz przynajmniej powinna siedzieć cicho i nie narażać Związku Więźniów Politycznych na kompromitację. (ki)